

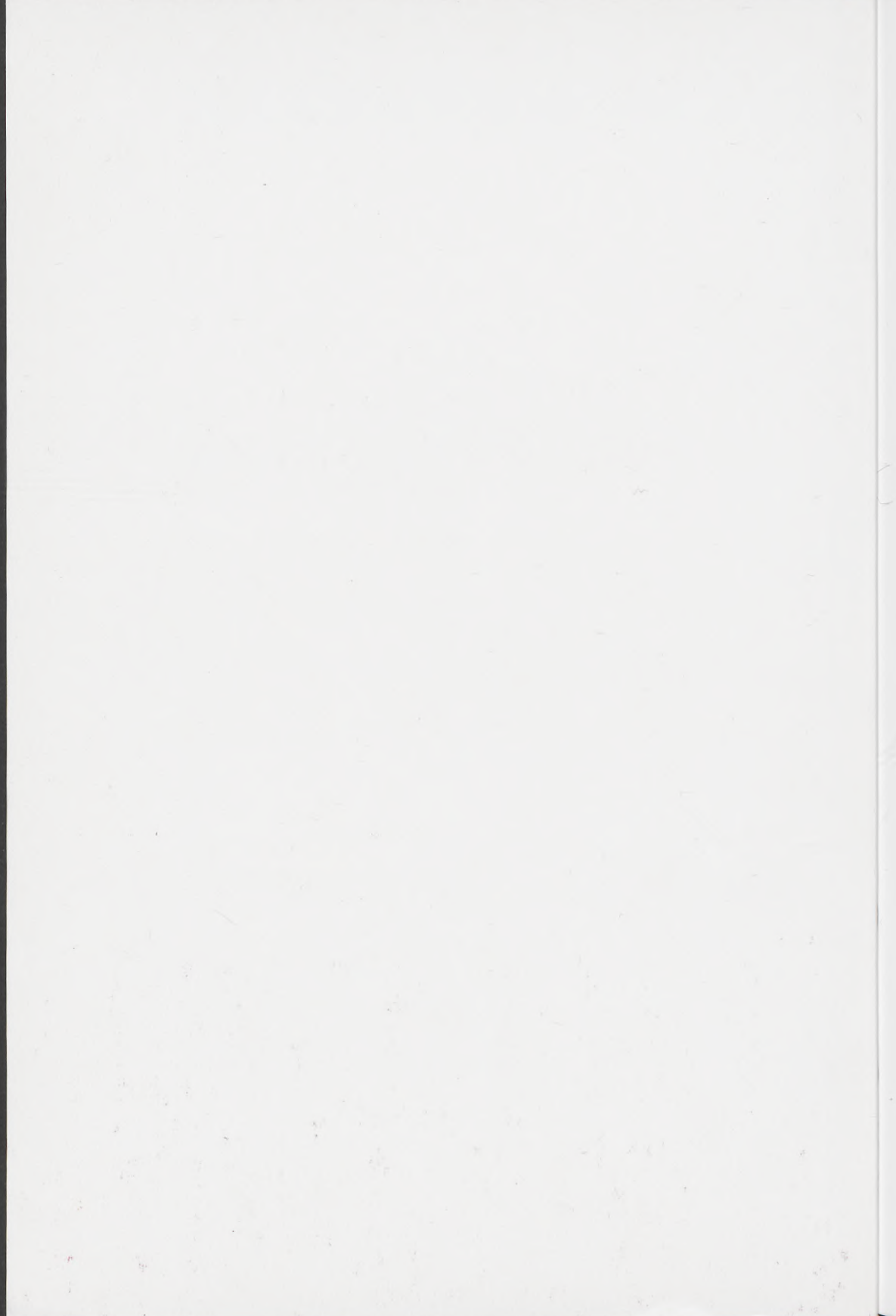
Tadeusz Szulc



LEGIONOWO
PRZYSTANEK
DAWNIEJ I DZIŚ



LEGIONOWO 2014



Historię Miasta tworzą jego Mieszkańcy.

Tym, którzy byli,

Tym, którzy są,

Tym, którzy będą,
dedykuję tę publikację.

Tadeusz Szulc

Siódma publikacja
Muzeum Historycznego w Legionowie

1. *Wandalowie. Cmentarzysko kultury przeworskiej w Legionowie*, wyd. 2009
2. J. Załączny, *20 lat samorządu legionowskiego 1990–2010*, wyd. 2010
3. T. Szulc, *80 lat Legionovii 1930–2010*, wyd. 2010
4. B. Romanowska-Mazur, *Czs próby... Historia legionowskich Kolumbów*, wyd. 2010
5. J. E. Szczepański, *Niemiecki obóz kwarantannowy w Zegrzu 1918 r.*, wyd. 2013
6. J. E. Szczepański, *Zegrzyńskie feldposty niemieckiej piechoty zapasowej 1916–1918*, wyd. 2013

501552

UAM-49-14

Tadeusz Szulc

LEGIONOWO
PRZYSTANEK
DAWNIEJ I DZIŚ



LEGIONOWO 2014

DMY/14

25

Redakcja: Tadeusz Szulc, Jacek Szczepański

Korekta: Katarzyna Ziułkowska-Karnicka

© Copyright by Tadeusz Szulc

© Copyright by Muzeum Historyczne w Legionowie

ISBN: 978-83-930897-9-6



Wydanie I

Vara. 12703

Wydawca:



Muzeum Historyczne w Legionowie
ul. A. Mickiewicza 23
05-120 Legionowo

Druk: Drukarnia L&P, Legionowo, ul. Sienkiewicza 4

Składam serdeczne podziękowania osobom i instytucjom wymienionym poniżej za użyczenie zdjęć do niniejszej publikacji:

Danucie Bach z d. Sokołowskiej

Bogusławie Budnej

Henrykowi Drożdżewskiemu

Fredzi Głuszczy z d. Małeckiej

Irenie Kapczyńskiej z d. Tomaszewskiej

Jolancie Kilińskiej

Jadwidze Kuchcińskiej

Anecie Lange-Kępczyńskiej

Waldemarowi Pawłowskiemu

Niusi Piątkowskiej z d. Jarosz

Zenonowi Piątkowskiemu

Elizie Radeckiej

Wiesławowi Sarnowskiemu

Zdzisławowi Sokalskiemu

Hannie Szwarga z d. Sokołowskiej

Jerzemu Szulcowi

Wandzie Zarzyckiej

Archiwum Szkoły Podstawowej nr 2

Zdjęcia autora pochodzą z albumów rodzinnych.

1870

1871

1872

1873

1874

1875

1876

1877

1878

1879

Od autora

W książce tej opisałem historię powstania naszej miejscowości i dzielnicy Przystanek. Jak to z małej podmiejskiej osady willowej wyrosło 50-tysięczne miasto Legionowo. Większość materiałów dotyczy Przystanku, gdzie się urodziłem, wychowałem i mieszkam, a wspomnienia z dzieciństwa są świadectwem rozwoju dzielnicy i całego miasta.

Wspomnienia o życiu mieszkańców naszej dzielnicy przed wojną i w czasie drugiej wojny światowej opisałem na podstawie relacji pani Niusi Piątkowskiej, z d. Jarosz, i pani Fredzi Głuszczy, z d. Małeckiej, które mieszkają tu od lat 30. XX w. Dziękuję Annie i Aleksandrowi Strasburgerom za ciekawą opowieść o historii ich domu w czasie okupacji niemieckiej oraz Waldemarowi Pawłowskiemu za historyczne przedwojenne dokumenty. Mam tylko żal do siebie, że wcześniej nie porozmawiałem z Tymi, którzy tu mieszkali, a już odeszli, zabierając ze sobą swoje przeżycia, radości i smutki przedwojennego Przystanku. Wspomnienia z lat dziecięcych pomógł mi sobie przypomnieć kolega z tamtych wspólnych czasów, Heniek Drożdżewski. Dziękuję pani Joannie Zaniewskiej-Ćwiklińskiej za udostępnienie mi dokładnej relacji i opisu wypadku samolotu, który rozbił się w 1951 r. u zbiegu ulic Krasińskiego i Batorego.

Dziękuję Tym wszystkim, którzy przekazali mi zdjęcia – pamiątki rodzinne z czasów przedwojennych, wojennych i powojennych. Dzięki takim pamiątkom obraz naszej dzielnicy jest pełniejszy.

Jeszcze raz z całego serca – DZIĘKUJĘ.

AUTOR

POCZĄTKI NASZEGO MIASTA

W roku 1918 nasza miejscowość nazywała się *Jabłonna* (potocznie mieszkańcy mówili *Jabłonna Nowa*). Obok stacji kolejowej mieściły się koszary wojskowe, a po drugiej stronie torów kolejowych znajdowała się huta – jak wtedy mówiono – szklana. Niedaleko przy obecnej ulicy Piłsudskiego był Park Gucin. Obok niego stało około 10 drewnianych willi. W roku 1919 przybył do koszar gen. Bolesław Roja i nazwał część koszarową na cześć Legionów – *Legionowo*, a z czasem nazwę tę przyjęła cała miejscowość. Jeszcze w 1921 r. nasze osiedle spełniało głównie funkcje letniskowe i liczyło kilkanaście budynków, poza budynkami koszarowymi.

Legionowo – mała podmiejska osada willowa. Tak kojarzyła się ta miejscowość w latach 20. i 30. XX w. Lata 1919–1939 to okres dynamicznego rozwoju. Parcelacja dóbr Maurycego hr. Potockiego, rozpoczęta w 1925 r., zaczęła przekształcać dotychczasowe tereny leśne w działki budowlane. W okresie międzywojennym objęła kilka tysięcy działek. Tak było też na II Parceli, inaczej mówiąc na Legionowie-Przystanek – dzielnicy, w której się urodziłem i gdzie mieszkam.

Na mocy Rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 17 marca 1930 r. utworzono gminę wiejską *Legjonowo*. Paragraf 1 stanowił: *Z gminy wiejskiej Jabłonna w powiecie i województwie warszawskim wyłączą się następujące miejscowości: osadę parcelacyjną o nazwie hipotecznej Jabłonna-Legjonowo, folwark Ludwisin, tereny stanowiące własność Państwa położone przy szosie Jabłonna-Zegrze zabudowane Koszarami, domami i magazynami wojskowymi, poligon wojskowy, wieś Cegielnia i tworzy się z nich gminę wiejską Legjonowo w granicach tegoż powiatu i województwa. Paragraf 2: Do nowoutworzonej gminy wiejskiej mają zastosowania przepisy dotyczące gmin miejskich.*

W latach 30. XX w. Legionowo-Przystanek, gdzie rosły zdrowe lasy sosnowe, było dzielnicą letniskową, więc od maja do września do swoich domów, które tu wybudowali, zjeżdżali letnicy z Warszawy. Przy ulicy Mazowieckiej stała leśniczówka wzniesiona jeszcze przez Maurycego hr. Potockiego. W roku 1930 lub 1932 działkę wraz z leśniczówką kupiły rodziny Bieńkowskich oraz Leśniewskich i całe lato tam mieszkały. Budynek ten zbudowano z drewnianych bali, z uroczym gankiem obrosniętym winogronem, a ogród wokół był pięknie i gustownie utrzymany. Na placu przy ulicy Mazowieckiej rósł kasztan, z którego owoców okoliczne dzieciaki robiły różne ludziki i zabawki. Niestety w czasie drugiej wojny światowej, 1939 r. spłonął budynek leśniczówki, a do dzisiaj pozostało tylko drzewo kasztanowca.

Inny budynek z lat 30. XX w. warty odnotowania to dom u zbiegu ulic Mazowieckiej i Krakowskiej. W tym dużym drewnianym domu, którego właścicielami byli państwo Ostaszewscy, na parterze, z wejściem od ulicy Mazowieckiej funkcjonował lokal gastronomiczny. Dla młodszych mieszkańców Przystanku atrakcją był znajdujący się tam stół bilardowy, jako jedna z nielicznych rozrywek ówczesnej młodzieży. Na ulicy Kościuszki 106 przy swym domu mieli piekarnię Antonina i Stanisław Jaroszowie. Zatrudnieni w niej trzej pracownicy i właściciel zaopatrywali mieszkańców w pieczywo. Warto zaznaczyć, że w roku 1930 Legionowo liczyło około 8 tysięcy mieszkańców.

Przybywało też mieszkańców Przystanku i koniecznością stało się zorganizowanie dzieciom szkoły. Na ten cel przeznaczono Dom Ludowy przy ulicy Jagiellońskiej nr 67. Drewniany budynek składał się z czterech izb szkolnych, pokoju nauczycielskiego, szatni i korytarza. Nauka rozpoczęła się w nim w 1932 r. Mała ilość sal lekcyjnych zmusiła ówczesne władze do szukania pomieszczeń na potrzeby szkoły w prywatnych domach. Wynajęto murowany budynek państwa Tomaszewskich po drugiej stronie ulicy Jagiellońskiej. Posiadłość ta nazywała się „Skarżynek”, więc i uczniowie tak nazywali szkołę, do której chodzili. W latach 30. XX w. właściciele nadawali swoim domom nazwy, które tworzone od nazwisk lub nazw kwiatów, jak np. willa „Róża”, „Bratek”. Nazwa „Skarżynek” pochodziła od nazwiska właścicielki parceli – Julianny vel Julii Skarżyńskiej, jak opowiadała mi jej córka Irena Kapczyńska, z d. Tomaszewska.

Jak wspomina Zdzisław Sokalski, który wraz z rodzicami w roku 1937 przeprowadził się z Warszawy do Legionowa, zaczął uczęszczać do Szkoły Powszechnej nr 2 przy ulicy Jagiellońskiej. Z powodu ograniczonej powierzchni (cztery izby lekcyjne) szkoła wynajmowała dodatkowo kilka pomieszczeń w budynkach prywatnych przy ulicy Jagiellońskiej („Skarżynek”), a w czasie wojny przy ulicy Wileńskiej w domu pana Kózki, czy przy ulicy Poznańskiej 25 w drewnianym parterowym, długim budynku, który spłonął w połowie lat 80. XX w.

Na Przystanku nie tylko działała piekarnia państwa Jarosów ze sklepem oferującym swoje wyroby, ale powstało też wiele innych punktów sprzedaży. Przy zbiegu ulic Mazowieckiej i Piastowskiej – sklep spożywczy, który prowadzili we własnym domu Zofia i Franciszek Małeccy. Funkcjonowały też sklepy w domu pani Jesionowskiej przy ulicy Kościuszki. Działały tam między innymi zakład fryzjerski i, jak głosiła nazwa, Sklep Win i Wódek.

Ciekawą architekturę, modną w tym czasie na Przystanku, miał drewniany dom wybudowany w roku 1930 przez Stanisława Pawłowskiego przy ulicy Mazowieckiej 24. Ważny do odnotowania jest fakt, że pozwolenie na budowę takiego domu składało się z trzech stron, na których mieścił się cały projekt budynku, opatrzony wieloma pieczęciami i podpisami. Dom ten wraz z wybudowanymi wtedy wychodkiem (ustęp, ubikacja) i studnią (wkopywano kręgi, a wodę wyciągało się kubełkiem przywiązany do liny umocowanej na wałku) stoi do dziś w dobrym stanie.

Na działkach rosły sosny, brzozy, kasztany, a tereny były podmokłe, z wieloma bajorkami. Parowa, która zaczynała się od ulicy Krakowskiej, poprzez teren obecnego stadionu przy ulicy Parkowej i dalej, dochodziła prawie do Wisły.

W tym czasie istniała też mała stacyjka kolejowa Legionowo-Przystanek, gdzie stał kiosk z prasą codzienną. Ta mała stacyjka kolejowa wraz z kioskiem służyła mieszkańcom Przystanku wiele, wiele lat po drugiej wojnie światowej.

Zimową porą dzieci miały zabawę, zjeżdżając na sankach z licznych pagórków i gór. U zbiegu ulic Jagiellońskiej i Kościuszki działało prywatne lodowisko, które prowadził pan Perczyński na swo-

im placu (wstęp kosztował 5 i 10 gr). Plac lodowiska był ogrodzony i oświetlony.

Latem atrakcją dla dorosłych i dzieci stanowiło wesołe miasteczko, które zajmowało teren u zbiegu ulic Jagiellońskiej i Parkowej (obecnie teren szkoły i przedszkola). W soboty i niedziele odbywały się tam potańcówki dla dorosłych, a na najmłodszych czekały huśtawki, karuzele oraz gry i zabawy, takie jak np. bieg w workach. Wiele imprez dla dzieci na tym placu organizował ksiądz Anatol Sałaga z pobliskiej parafii św. Jana Kantego. Znajdujący się tam mały drewniany budynek pełnił rolę kawiarenki, w której mieszkańcy spotykali się przy szklance kawy lub lemoniady.

Choć od 1930 r. Legionowo było już gminą z uprawnieniami miejskimi i liczyło około 8 tysięcy mieszkańców, to jedyną świątynią była kaplica garnizonowa przy stacji kolejowej Legionowo. Wierni chodzili się modlić do Chotomowa lub Jabłonny. Koniecznością stało się wybudowanie kościoła w Legionowie. W roku 1928 został powołany Komitet Budowy Kościoła. Hrabia Maurycy Potocki ofiarował działkę na niewielkim wzniesieniu przy obecnej ulicy ks. Józefa Schabowskiego i rozpoczęła się budowa, którą ukończono w roku 1931. Budynek był drewniany i w zamyśle miał służyć wiernym tymczasowo, dopóki parafia nie wybuduje murowanego. Niestety wybuch drugiej wojny światowej w 1939 r. zweryfikował te plany i ten nasz mały kościółek, zwany przez mieszkańców „na górcie”, a oficjalnie pw. Świętego Ducha parafii pw. Świętego Jana Kantego, służył parafianom do 1981 r., kiedy to zastąpił go obecny duży kościół murowany.

Dynamiczny rozwój naszego miasta, które liczyło już około 12 tysięcy mieszkańców, został przerwany w 1939 r. przez hitlerowski okupanta i wybuch drugiej wojny światowej.



Dom przy ulicy Mazowieckiej zbudowany w roku 1929 przez Michała Waluchowskiego. Od 1955 właścicielami są Józef Kwas i Eliza Kwas-Radecka.



Dom Genowefy i Zbigniewa Ostaszewskich przy ulicy Mazowieckiej 1 wybudowany pod koniec lat 20. XX w. Zdjęcie z roku 1932 z wejściem od ulicy Krakowskiej, które prowadziło do istniejących na parterze sklepów. Na zdjęciu personel sklepu, na schodach siedzi córka właścicieli Basia Ostaszewska.



Na górnym zdjęciu drewniany budynek Szkoły Powszechnej nr 2 przy ulicy Jagiellońskiej 67 oddany na potrzeby szkoły w 1932 r. Na dolnym po lewej stronie murowany budynek gospodarczy.





Nieistniejący już budynek przy ulicy Jagiellońskiej 68 należący do posiadłości właścicielki Julianny vel Julii Skarżyńskiej. W górnym rzędzie z prawej strony właścicielka wraz z rodziną. Zdjęcie z roku 1934.



Drugi z budynków tej posiadłości zwanej „Skarżynek”. Ten drewniany dom został zbudowany w roku 1933, a obmurowany w roku 1937. Tu uczyła się jedna klasa z pobliskiej Szkoły Powszechnej nr 2.



Klasa II b ucząca się w budynku zwanym „Skarżynek” w roku 1939. W ostatnim rzędzie pierwszy z prawej Lech Markiewicz, piąty Stanisław Małecki, w dolnym rzędzie drugi od lewej Waldemar Pawłowski, przed nim w pozycji leżącej Jerzy Maluchnik.



Rok szkolny 1937/38. Klasa trzecia Szkoły Powszechnej nr 2. Górny rząd, trzeci od lewej Zdzisław Sokalski.



Wynajęty na potrzeby szkoły budynek p. Kózki przy ulicy Wileńskiej. Przed budynkiem klasa IV w roku szkolnym 1938/39. W dolnym rzędzie piąty od prawej Zdzisław Sokalski.



Dawny budynek szkolny przy ulicy Wileńskiej, stan obecny.



Czwarta klasa Szkoły Powszechnej nr 2 przy ulicy Jagiellońskiej. W środku Leonard Traczyk, który był pierwszym kierownikiem szkoły w latach 1932 – 1944 w „Domu Kultury” wybudowanym wysiłkiem lokalnego społeczeństwa i zamienionym na budynek szkolny. Obok po prawej stronie ksiądz Wacław Szelenbaum, w czasie II wojny światowej żołnierz kapelan Armii Krajowej ps. „Bonus” VII Obwodu „Obroża” Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej, zamordowany przez Niemców 17 sierpnia 1944 r. Zdjęcie z czerwca 1944 r.

354

Zakład Inżynierski M. WOLŁOWICZ i M. MALUS—Warszawa, Widok 19, Tel. 113-02.

PROJEKT

BUDOWY PARTEROWEGO KAMU WRENNIANEGO
POŁOŻONEGO W LEŚCZYNOWIE PRZY UL. MA-
ZOWIECKIEJ IP. POL 24/26 WZNE 1098-1099.

W. A. D. P. STANISŁAWA PAWŁOWSKIEGO

10⁹¹ *poselstwa*

Zgodnie z projektem planu sytuacyjnego i planu podziału gruntu z zastrzeżeniem

Dr. Jankowski Legonowo dn. 9 lipca 1930.

Wójt gminy

Sekretarz gminy



Wydział Powiatowy Sejmiku Warszawskiego
na zasadzie Rozporz. Prezydenta Rzeczypospolitej
z dn. 15.12.18 r. (Dz. Ust. Nr. 27/28 poz. 202)
projekt niniejszy zatwierdza za Nr. 11831/30
Warszawa, dn. 11 sierpnia 1930

Przewodniczący Wydziału Powiatowego

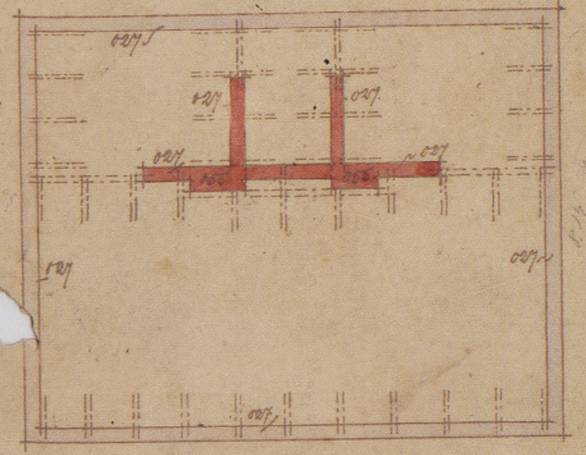
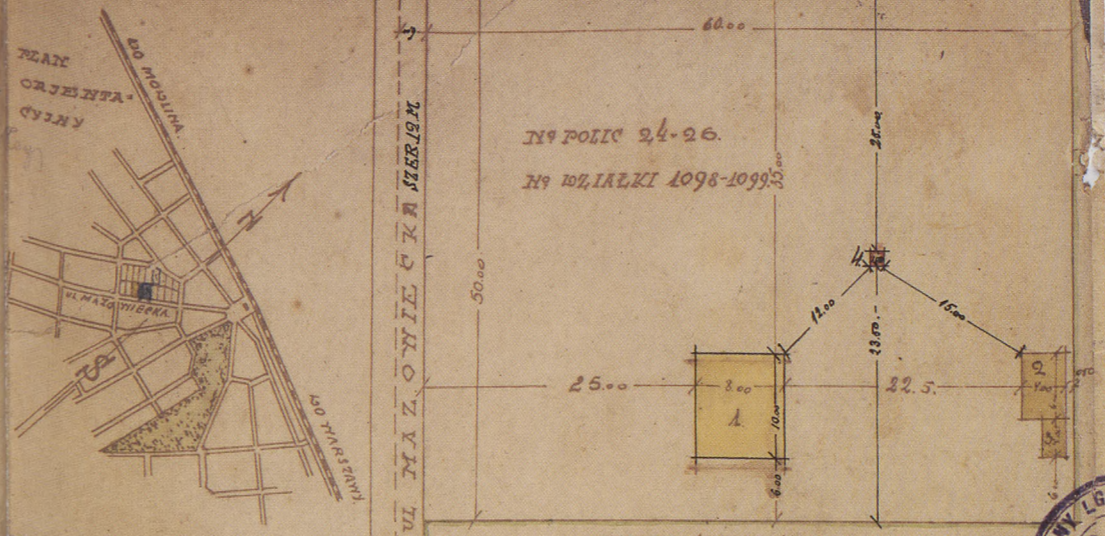


*Inżynier Mierniczy
Wydziału Powiatowego*

Wobec złożenia deklaracji przez odpowiedzialnego
Kierownika robót
Stanisław Portner
zamieszkałego *Warszawa W. Lesa 6*
zezwala się na rozpoczęcie i prowadzenie robót
budowlanych, objętych niniejszym projektem.

Przed rozpoczęciem budowy, projekt przedstawić
Posterunkowi Policji Państwowej, celem zarejestrowania.

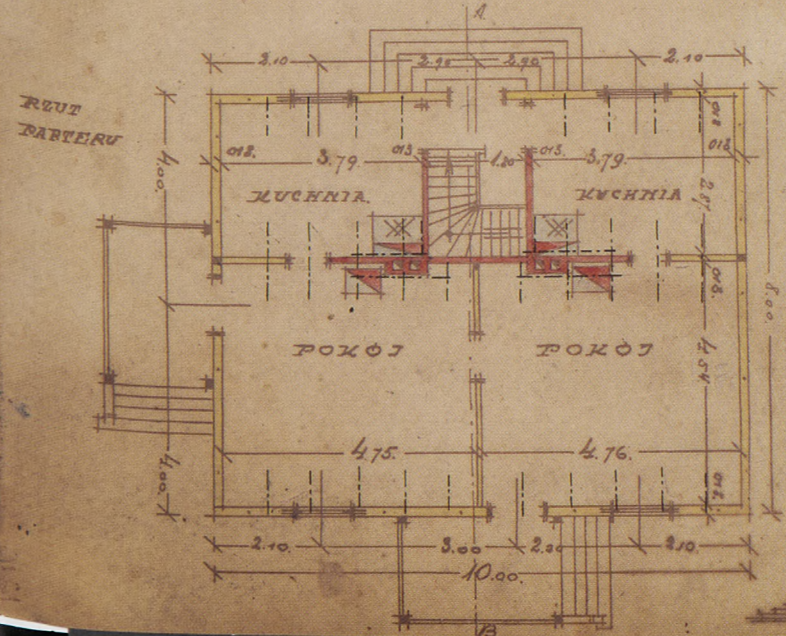
Archiwista Wydziału Powiatowego
Legonowo



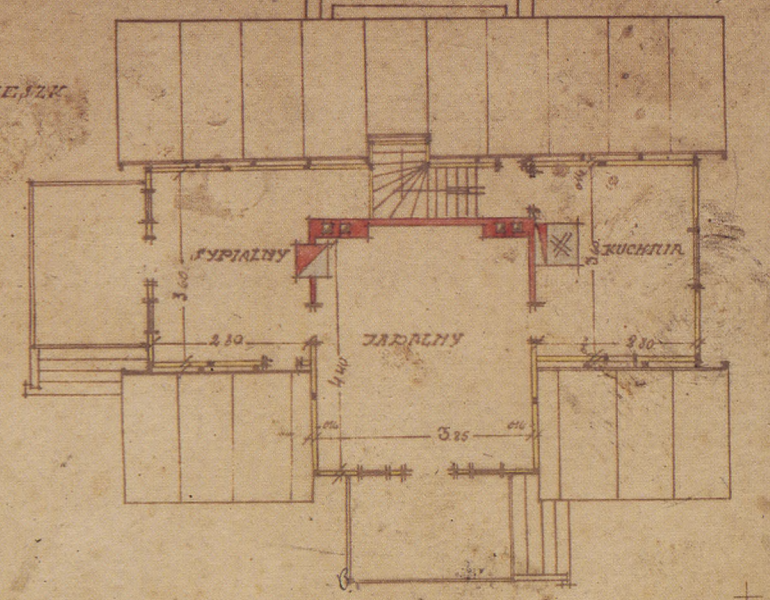
- 1. PROJEKCYJNY 190M 1925MNIANY
- 2. ISTNIEJĄCA DREWNIANA STROZÓCZKA
- 3. ... KONOŃKI
- 4. ... ZOLIMUROYJANY YC.

St. J. GÓRSKI i S-ka
PRZEDSIĘBIORSTWO ROBÓT
INŻYNIERYJNO-BUDOWLANYCH
WARSZAWA - LEGONOWO

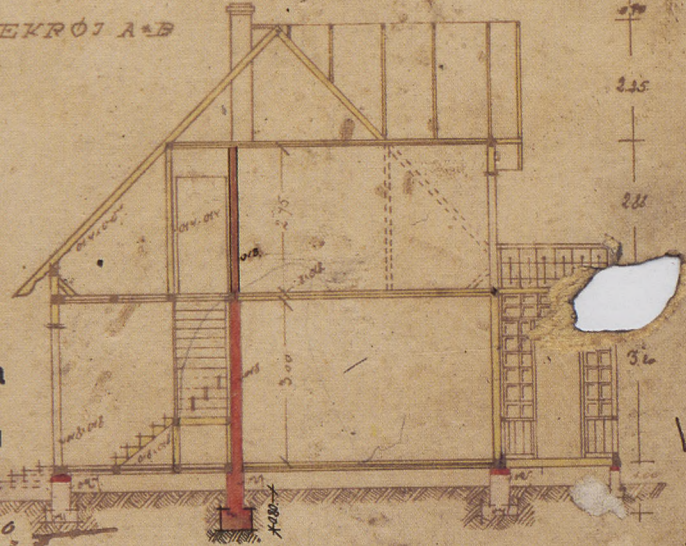
Warszawa, dnia 8 Sierpnia 1930
projektant Jan Bielecki
Red. Złobin N. 3.



RZUT
POKUSAZA NIEMSK

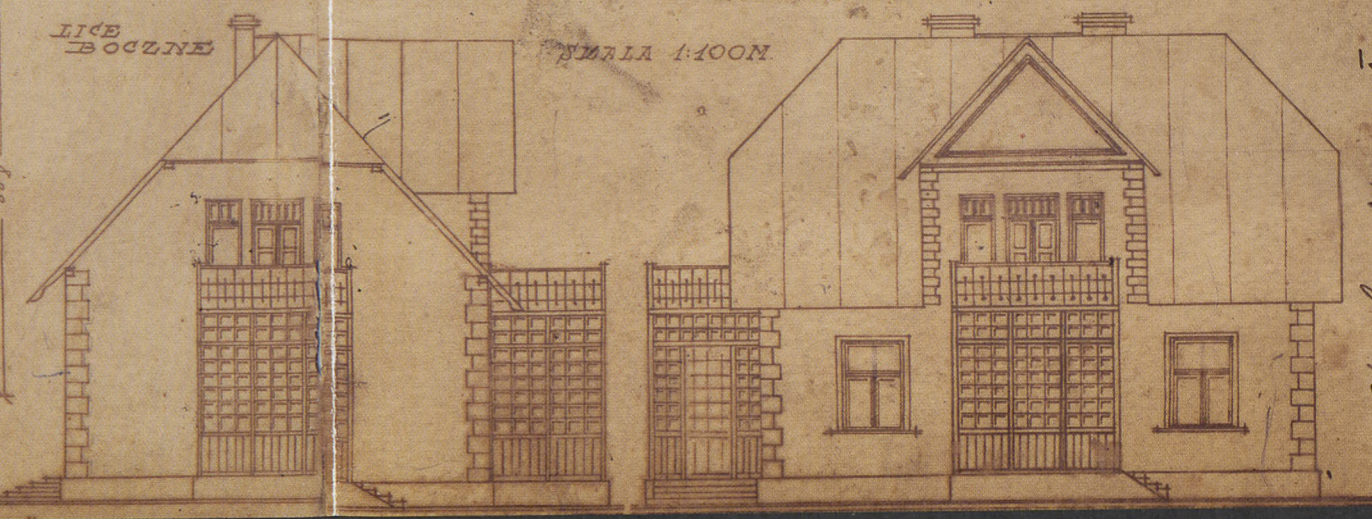


PRZEKRÓJ A-B



LICE
BOCZNE

SKALA 1:100M



Stanisław Portner

Inż. ST. J. GÓRSKI i S-ka
PRZEDSIĘBIORSTWO ROBÓT
INŻYNIERYJNO-BUDOWLANYCH
WARSZAWA — LEGJONOWO

W odpowiedzi prosimy przytoczyć — przed
treścią listu — nasz znak korespondencji.

BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

~~Oddział~~ GG. BNR. 3/1461/0003.

Siedziba — data — znak kor.

Warszawa, dnia 16. maja 1944r.

Skrot telegr. Krajobank

EINSCHREIBEN !

Herrn

PAWŁOWSKI Stanisław

Legionowo über Warschau

Mazowieckastrasse No. 24/26.

Dotyczy listu:

W sprawie: Bud-Ter/Kred/Szw/AW.
Reg. 3669.

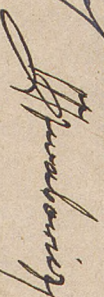
Wobec spłacenia naszej pożyczki budowlanej, celem wykreślenia jej z hipoteki przesyłamy w załączeniu deklarację ekstabulacyjną, którą prosimy wnieść do Wydziału Hipotecznego oraz zwracamy następujące dokumenty pożyczkowe :

- a/ wypis aktu pożyczkowego not. Hettlingera Nr. rep. 4026/33,
- b/ polisę asekur. PZUW. z anulowaną cessją odszkodowania ogniowego,
- c/ plan budowy domu mieszkalnego,
- d/ plik rachunków.

5. załączników.

Z poważaniem

LANDESWIRTSCHAFTSBANK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO





Dom przy ulicy Mazowieckiej 24 zbudowany w roku 1930 przez Stanisława Pawłowskiego, którego plan i pozwolenia na budowę są we wkładce.
Studnia i ubikacja budowana razem z domem, w takim stanie przetrwała do dziś.



Budynek stacji kolejowej Legionowo-Przystanek, zdjęcie z kwietnia 1937 roku. Widoczna po prawej budka mieściła pomieszczenie gospodarcze i ubikację. Przed budynkiem po prawej stronie mieszkali mieszkańcy Przystanku – Henryk Sokolowski.





W grudniu 1931 r. proboszcz parafii chotomowskiej ks. Makowski dokonał poświęcenia zbudowanego kościoła pw. Świętego Ducha parafii św. Jana Kantego. Ten drewniany kościółek służył parafianom do roku 1981.



Uroczystość Bożego Ciała w Kościele parafialnym św. Jana Kantego. Chór kościelny prowadził organista Leon Rykaczewski. Pierwszy od lewej w dolnym rzędzie Jan Szulc. Legionowo, zdjęcie z roku 1938.



Ostatni i radosny odpust przy kościele parafialnym w Chotomowie, 15 sierpnia 1939. W mundurze wojskowym Jan Szulc.

LATA OKUPACJI NIEMIECKIEJ

Zacząła się ta okrutna wojna, która pochłonęła miliony ludzkich istnień. Ludzie ginęli w łapankach ulicznych i obozach koncentracyjnych, które hitlerowcy założyli na naszych ziemiach, albo w niemieckich obozach pracy, gdzie byli zmuszani do ciężkiej pracy niewolniczej.

Do Legionowa wojska niemieckie wkroczyły 13 września 1939 r. Już od początku okupacji wzrastał opór mieszkańców. Pod koniec września 1939 r. w okolicach miejscowego cmentarza grupa cywiliłów zaatakowała patrol niemiecki. Jednak Niemcy byli w przewadze i po pościgu złapali trzech legionowian. Poprowadzili ich w stronę swojego posterunku, który znajdował się w okolicach dzisiejszego budynku siedziby powiatu legionowskiego. Mężczyźni nie chcieli się łatwo poddać i rozpoczęli walkę o swoje życie. Krótka i nierówna potyczka skończyła się zastrzeleniem złapanych. Ich ciała znaleziono dopiero następnego dnia. Przy jednym z nich leżała otwarta brzytwa – jedyna broń, jaką posiadali. Wśród zastrzelonych znajdował się Jan Głuszczyk. O pozostałych nic nie wiadomo.

Niemcy nie mogli pogodzić się z atakiem na ich żołnierzy, więc zorganizowali łapanki. Chodzili od domu do domu i zabierali mężczyzn, których następnie przewieźli do obozu niemieckiego Stalag IIA Ława. Wśród wywiezionych do tego obozu był Franciszek Małecki mieszkający przy ulicy Mazowieckiej i Józef Maluchnik z ulicy Lubelskiej. W połowie 1941 r. do domu wrócił Józef Maluchnik, prawdopodobnie z powodu choroby. Zmarł 25 grudnia 1941 r. Był mężem mojej babci, Władysławy Maluchnik. 12 lipca 1942 r. zmarł ich czternastoletni syn Jerzy, który w czasie ucieczki w Chotomowie przed Niemcami uderzył kolanem w wysoką rampę kolejową. Pomoc przyszła zbyt późno. Wdała się gangrena i chłopiec zmarł w szpitalu w Nowym Dworze

Mazowieckim. Franciszek Małecki został na robotach przymusowych w Prusach, gdzie przebywał u bauera do lutego 1944 r.

Pomimo zawieruchy wojennej i kłopotów z podręcznikami ograniczona edukacja dzieci w szkole odbywała się nadal. Często brakowało sal lekcyjnych w Szkole Powszechnej przy ulicy Jagiellońskiej. Poradzono sobie z tym w ten sposób, że wynajmowano pomieszczenia w prywatnych domach. Jeden z takich budynków, w którym uczyły się dzieci, znajdował się przy ulicy Poznańskiej 25.

Był to parterowy drewniany budynek, gdzie kilka pokoi zaadaptowano na sale lekcyjne. Wśród pedagogów, którzy uczyli w czasie II wojny światowej, można wymienić: kierownika Szkoły nr 2 Leopolda Traczyka, Saturnina Dulińskiego, Tadeusza Biernackiego, Zofię Wróblewską (z męża Dietrich), panią Iwaskiewicz oraz księdza Wacława Szelenbauma, uczącego lekcji religii.

W tych trudnych czasach ciężko było utrzymać rodzinę, więc powszechny stał się handel wymienny (szmugiel). By dostać żywność (kartki niemieckie nie wystarczały), mieszkańcy chodzili do okolicznych wsi wokół Legionowa, takich jak Janówek, Rajszew, Olszewnica Stara – położonych poza granicą Generalnego Gubernatorstwa Warszawskiego w Rzeszy. Często takim towarem wymiennym były ubrania, pościel, meble oraz bimber, z którego produkcji Legionowo słynęło.

U nas na Przystanku nie stacjonowało zbyt wielu żołnierzy niemieckich. Panoszyli się za to folksdojcz, pochodzący ze Śląska, a mieszkający w wynajętych domach prywatnych. Różni byli to ludzie i nie wszyscy kojarzyli się ze złem i butą niemiecką.

Bardzo ciekawą historię, nie tylko wojenną, opisali mi państwo Anna i Aleksander Strasburgerowie.

Dom przy ulicy Mazowieckiej 16 został wybudowany w 1934 r. przez pp. Markiewiczów na środku podwójnej działki o powierzchni 2500m² (ówczesny adres: ulica Mazowiecka 16/18) według projektu architekta z Jabłonn, p. Bronisława Glińskiego.

Właściciele do 1939 r. mieszkali w Warszawie, a dom wynajmowali lokatorom. Po napaści Niemiec na Polskę pp. Markiewiczowie

przenieśli się do Legionowa. Po pewnym czasie parter ich domu zajęły okupacyjne władze wojskowe, lokując tam biuro, do którego po czerwcu 1941 r. napływały meldunki z frontu wschodniego o poległych żołnierzach Wehrmachtu. Zadaniem tego biura było wysyłanie zawiadomień i kondolencji do rodzin ofiar, w związku ze śmiercią ich najbliższych.

Pewnym epizodem, który obserwowali właściciele domu, była wizyta generała niemieckiego przybyłego na inspekcję, któremu urządzono tu kwaterę. Od samochodu – z ulicy Mazowieckiej do frontowego wejścia – generał przeszedł 20-metrowym paradnym szpalerem salutujących mu żołnierzy.

W 1945 roku nie było już tak paradnie. W omawianym domu kwatrowali żołnierze Armii Czerwonej, którzy zabawiali się strzelaniem z pepesz, dziurawiąc w wielu miejscach dach. Dobrze, że nie używali w tym celu działa czołgu, którym wjechali na posesję.

W listopadzie 1940 r. na terenie Legionowa Niemcy utworzyli getto w granicach dzisiejszej ulicy Zygmuntowskiej, Mieszka I, Sobieskiego i Prymasowskiej. Zamknięto tam około 2,5 tysiąca Żydów pochodzących z Legionowa i okolicznych miejscowości. W samym Legionowie ludność żydowska liczyła około tysiąca osób. Jej dramat i gehenna opisane zostały w kilku publikacjach historycznych. Likwidacja getta nastąpiła w październiku 1942 r. To było straszne, większość wywieziono do niemieckiego ośrodka zagłady „Treblinka”, część na miejscu zamordowano i pogrzebano.

Jedną z tych żydowskich rodzin była rodzina felczera Dawida Segala. W czasie likwidacji getta jego żona, córka i syn zginęli, a on sam ocalał, gdyż w tym czasie przebywał u chorego po stronie aryjskiej. Przeżył wojnę, osiedlił się w naszym mieście i dalej leczył pacjentów. Zmarł w roku 1960. Losy legionowskich Żydów wiążą się także z historią mieszkańców domu z ulicy Mazowieckiej 1. Opowiedziała mi ją obecna właścicielka domu – Aneta Lange-Kępczyńska.

Stary, drewniany dom z ulicy Mazowieckiej 1 imponuje nie tylko swoim kształtem niezmiennym od okresu przedwojennego, ale także historią, którą skrywa. W czasie II wojny światowej, z uwagi na swoje

położenie w centralnym punkcie Legionowa-Przystanek, blisko torów kolejowych i węzła komunikacyjnego oraz granicy getta, był idealnym miejscem na punkt przerzutowy. Znalazło tu schronienie kilka rodzin żydowskich. Jego właściciele, pomimo aktywności konspiracyjnej, nie budzili podejrzeń. Dom należał do rodziny Ostaszewskich, ale zamieszkiwały go wówczas trzy kobiety: matka – Genowefa Janina Ostaszewska z dwiema kilkunastoletnimi córkami, Aliną i Barbarą. Mąż – Zbigniew Stanisław Ostaszewski po kampanii wrześniowej 1939 r. został zesłany do obozu jenieckiego w Dolnej Saksonii i tam przebywał przez cały okres okupacji. Lata wojny to ból i cierpienie oraz nieodłącznie związana z tym próba charakteru. Te młode panie niejednokrotnie narażały swoje życie, ratując innych w tym trudnym czasie dla Polaków. Alina Ostaszewska, uczennica tajnego gimnazjum i liceum, działającego w czasie drugiej wojny światowej w Legionowie, pod pseudonimem „Cicha Woda” włączyła się w działalność konspiracyjną Szarych Szeregów, zastępu „Sosna”. Jej starsza o rok siostra – Barbara Ostaszewska – później uznany lekarz neurolog – szmuglowała żywność, by w ten sposób pomóc najbliższym przetrwać ciężkie dni. Raz została złapana i otarła się o śmierć. *Pamiętam, jak ciocia Basia dzieliła się z nami wspomnieniami. Opowiadała, jak pewnego dnia w czasie likwidacji pobliskiego getta wpadli do domu okupanci i spytali prababcie Genowefę, czy ukrywa zbiegłych Żydów. Grozili, że rozstrzelają wszystkich, łącznie z domownikami, jeśli są, a nie zostaną im wydani. W tym czasie w naszym domu przebywała rodzina żydowska, bardzo dobrze ukryta na strychu – w skrytce zabitej deskami. Oczywiście nikt nie pisał ani słowa. Pomimo przeszukania domu na szczęście nie została znaleziona, dzięki czemu wszyscy przeżyli. Znamy jednak finał innych mieszkańców Legionowa, którym się nie udało i przypłacili to życiem – powiedziała Aneta Lange-Kępczyńska, wnuczka Aliny, dzisiaj właścicielka domu i orędowniczka pozostawienia go w dawnym, przedwojennym klimacie, jako piękny 85-letni zabytek naszej dzielnicy. Po wojnie był miejscem kwaterek wielu rodzin, a według Książki ewidencyjnej nieruchomości, założonej w roku 1951, mieszkaly tam rodziny: Stańskich, Strzygielskich, Borowieckich oraz Grodek, Zygmunt Krewicz i Maria Lewandowska. Na Przystanku przy ulicy Kujawskiej 19 mieściła się stołówka*

dla żołnierzy niemieckich. Właściciele tej posesji, Janina i Stanisław Stefańscy, w roku 1942 zostali z całą rodziną wysiedleni przez Niemców i przebywali do roku 1945 w Mogielnicy. Po powrocie do swojego domu, który był raczej w dobrym stanie, zastali zniszczone lub spalone meble i masę skorup po zastawie stołowej, na których znajdował się znak z charakterystycznym orłem wojsk hitlerowskich. Nic nie zostało w całości, a noże, widelce i łyżki poginęły bądź na pamiątkę wzięli je sobie żołnierze rosyjscy. Opowiedział mi o tym wnuczek właścicielki, Wojciech Mateuszczuk.

W czasie okupacji niemieckiej działały prywatne sklepy spożywcze, pracowała wciąż piekarnia Antoniny i Stanisława Jaroszków. To tu miejscowa ludność zaopatrywała się w pieczywo. Do sklepu przy piekarni przychodzili też nasi żołnierze z organizacji Armii Krajowej i Armii Ludowej. Była taka umowa, że Ci z AK odbierali chleb z tyłu sklepu, a Ci z AL – od frontu. Najczęściej tym, który odbierał, był pan Krogulski – po wojnie wójt Legionowa. Lasy chotomowskie stały się ostoją dla Armii Krajowej, a lasy poniatowskie – dla Armii Ludowej.

Dużym problemem dla naszego wojskowego podziemia stał się brak broni, a jeśli już ją zdobyto, ważne było bezpieczne przewiezienie jej do lasu. O jednej z takich akcji opowiedziała mi pani Fredzia Małecka.

Był czerwiec lub lipiec 1944 r., gdy z Legionowa przez Chotomów w stronę lasu jechał wóz konny, którym powoził Stanisław Małecki, a za wozem, jako obstawa, szedł mój ojciec Jan Szulc z drugim żołnierzem z organizacji AK. Na wozie ustawiono skrzynki z pomidorami, ogórkami i innymi warzywami. Najważniejsze jednak ukryto pod skrzynkami – broń. W pewnym momencie obstawa zobaczyła, że od strony lasu idzie w ich kierunku żołnierz niemiecki. Zrobiło się nerwowo. Niemiec spostrzegł wóz i idących za nim ludzi. Zaskoczenie pojawiło się z obu stron. Zaczęło być niebezpiecznie. Podczas mijania się Niemiec odwrócił lekko głowę w drugą stronę, jakby udawał, że nie widzi ani wozu, ani ludzi. Po kilku minutach napięcia każdy poszedł w swoją stronę.

Inna akcja, która rozegrała się na Przystanku, miała miejsce w połowie lipca 1944 r. Patrol niemiecki, tzw. sztrajfa kolejowa, patrolował

tory kolejowe od stacji Legionowo do Chotomowa. Był dobrze uzbrojony, więc żołnierze z AK i prawdopodobnie AL w celu zdobycia broni zaatakowali patrol na stacji kolejowej Legionowo-Przystanek, gdy ten czekał na drugą zmianę, która powinna przyjść od strony III parceli. Po krótkiej walce akcję zakończono i gdy nasi ze zdobytą bronią mieli się wycofać, od strony Alei Róż zobaczyli siedmiu Niemców, którzy szli na zmianę. Decyzja była jednomyślna – zaatakować patrol. Do przodu wyskoczył żołnierz AK, Eligiusz Gierymski ps. „Grom”, przeskoczył przez tory kolejowe i rzucił granat w stronę Niemców. Jednak poderwał się za szybko i odłamki granatu rozerwały mu jamę brzuszną. Niemcy, widząc uzbrojonych polskich żołnierzy, wycofali się i zawiadomili o tym fakcie swoich dowódców stacjonujących w koszarach w Legionowie.

W tym czasie z mieszczącej się tuż obok piekarni państwa Jaroszów wybiegli pracownicy wraz z właścicielem i na drabinie przynieśli ciężko rannego Eligiusza Gierymskiego do swojego zakładu. W miarę możliwości i środków zaczęli go ratować. Krew zalewała całą posadzkę pomimo ucisków i tamponów. Nagle ktoś ich zawiadomił, że na III Parcelę zajęchały dwa samochody ciężarowe z żołnierzami niemieckimi. Wtedy jedni złapali za drabinę, na której leżał ciężko ranny, a kobiety nerwowo zaczęły wycierać krew na betonowej podłodze. Znajdowała się tam też czternastoletnia wówczas Nusia Jarosz, która była świadkiem tej potyczki z Niemcami i teraz mi o tym opowiedziała.

Ciężko rannego Eligiusza Gierymskiego przeniesiono do Szkoły nr 2 na ulicy Jagiellońskiej, gdzie znajdował się punkt opatrunkowy. Niestety żołnierz AK plut. pchor. Eligiusz Gierymski ps. „Grom” nie przeżył. Wiele czasu poświęciłem, by odnaleźć miejsce Jego wiecznego spoczynku, ale w księgach parafialnych w Chotomowie i Legionowie nic nie znalazłem. Tak samo żadnej wskazówki nie ma w księgach Urzędu Stanu Cywilnego w Legionowie. Jego żona i syn dawno już nie żyją. Udało się to dopiero, kiedy dotarłem do pani Marysi Gierymskiej, obecnej mieszkanki Warszawy. Jest ona wnuczką żołnierza AK st. bsm. Aleksandra Gierymskiego ps. „Fala”, który dowodził 709. plutonem I Rejonu Legionowo o kryptonimie „Marianowo-Brzozów”. W czasie Powstania Warszawskiego w Legionowie wraz ze swym

plutonem przyszedł z odsieczą powstańcom walczącym z Niemcami na granicy Legionowa i Chotomowa 3 sierpnia 1944 r.

Jak mi opowiadała pani Marysia: będąc dzieckiem, przyjeżdżała z dziadkiem po wojnie do Legionowa, by zapalić znicz na mogile Eligiusza Gierymskiego, która znajdowała się w Kwaterze Wojskowej na naszym cmentarzu. Jednak dość dziwnym trafem po renowacji i odświeżeniu Kwatery Wojskowej na miejscowym cmentarzu przez Urząd Miasta zabrakło imienia Eligiusza Gierymskiego. Jest za to mogiła Wacława Gierymskiego z datą śmierci 1939 r. W rozmowie z panią Marysią Gierymską doszliśmy do wniosku, że musiała nastąpić pomyłka podczas renowacji, bo Eligiusz miał dwa imiona, Wacław Eligiusz Gierymski, a data śmierci na starej tabliczce mogła być nieczytelna.

St. bsm. Aleksander Gierymski, pseudonim konspiracyjny „Fala”, po tułaczce wojennej w Niemczech i Anglii wrócił do kraju. Zmarł w Warszawie w 1973 r.

Odwet Niemców po tej akcji na Przystanku rozpoczął się od III Parceli, gdzie szukali po domach polskich partyzantów. Spalili jeden lub dwa budynki, z czego w jednym mieścił się lokal gastronomiczny, należący do siostry Jana Kiepurzy. Po przejściu na stronę Przystanku dalej przeszukiwali zabudowania. Chcieli spalić dom pani Ostaszewskiej przy zbiegu ulic Mazowieckiej i Krakowskiej, ale na szczęście tego nie zrobili. Następnie przeszli do państwa Filipkowskich przy ulicy Krakowskiej. Mieszkała tam jednak Niemka, więc odstępili od przeszukiwania.

Chwile grozy przeżyła za to Fredzia Małecka. Gdy Niemcy zbliżali się do ich domu przy ulicy Mazowieckiej, wraz z kuzynką i jej dwuletnim synkiem schowali się do piwnicy. Na odgłos podkutych butów strach ścisnął im gardła, a maleńki chłopczyk, wtulony w swoją mamę, nawet nie pisnął, jakby i on rozumiał powagę sytuacji. Niemcy po przeszukaniu podwórka i domu odeszli i dom ocalał.

Jak mówiła mi Niusia Jarosz, w akcji na Przystanku brali udział między innymi znani jej osobiście Lucjan Jamroz ps. „Jal” z AK, Eligiusz Gierymski ps. „Grom” i Kucharski z AL, który już jako podpułkownik WP w 1955 r. przyjechał do państwa Jaroszków podziękować za pomoc w latach okupacji niemieckiej.

W roku 1940 w Legionowie mój tata Jan Szulc, przyjmując pseudonim „Dukat”, wstąpił w szeregi organizacji niepodległościowej Związek Walki Zbrojnej, gdzie prowadził szkolenie bojowe żołnierzy. Po scaleniu w roku 1942 organizacji wojskowych w Armię Krajową uzyskał przydział do 705. plutonu 2. Kompanii wchodzącej w skład legionowskiego pułku o kryptonimie „Folwark Marianowo-Brzozów”. Kapral Jan Szulc dowodził 3. drużyną.

Z opowiadań rodzinnych dowiedziałem się, jak to było w momencie, kiedy nastąpiła godzina „W” i ogłoszono wybuch Powstania Warszawskiego w Legionowie. Punkt zborny 3. drużyny znajdował się w domu przy ulicy Lubelskiej 9. Gdy przybył łącznik z meldunkiem o rozpoczęciu powstania, mój tata energicznie odsunął moją mamę, która stała obok z maleńkim moim starszym bratem na rękach, poderwał swoją drużynę i poszli... Drużyna kpr. „Dukata” brała udział między innymi w starciach z czołgami dywizji pancерnej SS Herman Goering i potyczkach z Niemcami na granicy Chotomowa i Legionowa-Przystanek. O tych wspólnych walkach z moim tatą wspomina uczestnik tamtych wydarzeń Edward Szczepański ps. „Jantar” w „Mazowieckim To i Owo” z dnia 4 września 2013 r. Jan Szulc zmarł 12 października 1998 r. i został pochowany z honorami wojskowymi na miejscowym cmentarzu.

Po upadku powstania w Legionowie i Powstania Warszawskiego Niemcy zaczęli wywozić mieszkańców naszego miasta do obozów w Pruszkowie i Ożarowie.

Nieubłaganie front wojny przesunął się w kierunku Legionowa, a Niemcy wysiedlali coraz więcej ludzi. Jeden z punktów zbornych wyznaczony przy ulicy Mazowieckiej 5. Nie wszyscy mieszkańcy pomimo przewidywanych represji, które stosowali Niemcy, zgłaszali się na wyznaczony punkt. Część się ukrywała, a inni uciekali na własną rękę – na wysiedlenie, zabierając ze swoich domów tylko niezbędne przedmioty.

Do tych drugich należała i moja Rodzina, która postanowiła przedostać się do krewnych na wieś w okolicach Ciechanowa. Jednak to nie było łatwe, już pod Chotomowem musieliśmy przez pięć czy sześć godzin ukrywać się w łubinie, bo w okolicy kręciło się dużo Niemców. To wysiedlenie mogło się dla mnie tragicznie skończyć,

ponieważ się okazało, że w łubinie mnie nie ma (miałem wtedy dopiero rok). W tym pośpiechu, emocjach i strachu po prostu o mnie zapomniano, bo każdy myślał, że opiekuje się mną ktoś inny. Dopiero ciocia Zosia przedostała się znów na Przystanek i zabrała mnie ze schronu u sąsiada, pana Szymacha przy ulicy Lubelskiej.

O dużym szczęściu mogli mówić też państwo Małeccy. Żołnierze niemieccy, wycofując się z Przystanku, zaminowali wiele domów i między innymi również ich dom. Kiedy nocą wrócił jeden z Niemców o imieniu Fritz, sam rozminował budynek. Jak mówi pani Fredzia, nigdy się nie dowiedzieli, co nim kierowało i dlaczego tak postąpił.

W październiku 1944 r. do Legionowa wkroczyły wojska Armii Czerwonej. Legionowo po latach hitlerowskiej niewoli, cierpień i dramatów ludzkich zostało wyzwolone. Czy Legionowo i nasz kraj były już całkiem wolne...

Do swych okaleczonych domów wracali mieszkańcy – umęczeni, ale szczęśliwi, że przeżyli wojenny koszmar. Wracali z różnych stron, z obozów niemieckich, z przymusowych robót w Niemczech, ale byli u siebie w domu. Domu bez okien, drzwi, niekiedy i części dachu, jednak wszyscy ruszyli do odbudowy, by zacząć w miarę normalne życie.



Obóz niemiecki w Prusach Wschodnich Stalag II A
Hawa, rok 1941. Na zdjęciu z lewej Franciszek Ma-
lecki, z prawej Józef Maluchnik.



Trzynastoletni Jurek Maluchnik ze swoją babcią przed domem przy ulicy Lubelskiej. Na zdjęciu
z prawej mój tata Jan ze starszym bratem Markiem, w głębi typowe dla naszego terenu drzewa
sosnowe. Zdjęcia z roku 1941.



Rok szkolny 1940/41, klasa szósta, obok tymczasowego budynku szkolnego przy ulicy Po-
znańskiej 25. W dolnym rzędzie trzeci od lewej Zdzisław Sokalski.



Rok szkolny 1941/42, klasa siódma przed budynkiem szkoły przy ulicy Jagiellońskiej 67.
W drugim rzędzie czwarty od prawej Zdzisław Sokalski. Grono nauczycielskie: od lewej Ta-
deusz Biernacki, ksiądz Wacław Szelenbaum, Zofia Dietrich, Iwaszkiewicz, kierownik szkoły
Leonard Traczyk, Saturnin Duliński.



Vars. 12703



Rok szkolny 1941/42, klasa V b. Szkoła przy ulicy Jagiellońskiej. W dolnym rzędzie pierwszy z lewej Jerzy Maluchnik, trzeci Czarek Kalinowski, wyżej pierwszy z prawej Lech Markiewicz, w drugim od dołu pierwszy z lewej Waldek Pawłowski. Grono pedagogiczne: od prawej Saturnin Duliński, Zofia Dietrich, kierownik Leonard Traczyk i Tadeusz Biernacki.



Ulica Mazowiecka 1, kryjówka na poddaszu domu, gdzie panie Ostaszewskie ukrywały rodziny żydowskie.



Te trzy dzielne i odważne kobiety, mimo grożących im represji z rąk niemieckiego okupanta, we własnym domu przy ulicy Mazowieckiej 1 na poddaszu ukrywały rodziny żydowskie. Na zdjęciu w środku mama Genowefa, po lewej Alina, z prawej Barbara Ostaszewskie.

Bolesław Bolesław

Legjonowo

MAHNUNG UPMENNIE 1942

Zi 16 80

Gesamtbetrag der Gebühren

Ogólna suma należności (bez %)

Ausserdem kommen von den angestellten Rückstände Zinsen in Höhe von 0,75% monatlich zu

Ponadto od wykazanych należności przypadają odsetki w wysokości 0,75% miesięcznie

(Name und Vorkname, P. 1.) (Nazwisko i imię, P. 1.)

(Anschrift - Adres)

(Lage der Liegenschaft) (Miejscę położenia nieruchomości)

drożka 26

AUFSTELLUNG DER RÜCKSTÄNDE WYKAZ ZALEGŁOŚCI

Konto Nr.

Art der Gebühren und die rechtliche Grundlage Rodzaj należności i podstawa prawna

Rechnungsjahr Rok budżetowy

Gesamtbetrag der Gebühren Suma należności

Konto Nr.	Art der Gebühren und die rechtliche Grundlage Rodzaj należności i podstawa prawna	Rechnungsjahr Rok budżetowy	Gesamtbetrag der Gebühren Suma należności	
			Zl	gr
	Die Wegegebühr — Oplata drogowa			
	Zonenzuschlag — Dopłata strefowa			
	von Gebäuden — od budynków			
	von Grundstücken — od gruntów			
		1938	6	30
		39	5	25
		40	5	25
2479	Die Wegsteuer — Podatek drogowy			
	Die Investitionssteuer — Podatek inwestycyjny			
Das Weggesetz (Dz. U. R. P. 1921, Nr. 6, Pos. 32) und Art. 12 und 21 des Gesetzes über die vorläufige Regelung der Kommunalsteuern (Dz. U. R. P. 1906, Nr. 62, Pos. 454 und 1938, Nr. 59, Pos. 450)				
Ustawa drogowa (Dz. U. R. P. z 1921 r., Nr. 6, poz. 32) i art. 12 i 21 ustawy o tymczasowej uregulowaniu finansów komunalnych (Dz. U. R. P. z 1906 r., Nr. 62, poz. 454 i z 1938, Nr. 62, poz. 450)				
Ausserdem die Gebühr für die Mahnungskosten Ponadto należność z tytułu kosztów upomnienia		Zl	1	gr

Pop. Wadz. Pow. Przyim. w P. Wpływy do Gminy w Pomocznym Okręgu od 9-1

VERWALTUNG DES GEMEINDEVERBANDES BEIM KREISHAUPTMANN IN WARSCHAU STEUERBEFERT WARSCHAU, 6 AUGUSTSTR. 34

Die Verwaltung des Gemeindeverbandes fordert Sie zur Zahlung der Steuern unter Bedrohung einer Zwangsvollstreckung, falls die zukommende Steuern innerhalb 14 Tagen nach Zustellung der Mahnung nicht bezahlt werden.

DIE VERWALTUNG DES GEMEINDEVERBANDES

ZARZĄD ZWIĄZKU GMIN PRZY KREISHAUPTMANNIE W WARSZAWIE REPERAT PODATKOWY WARSZAWA, UL. 6-GO SIERPNIA 34

Zarząd Związku Gmin wzywa do zaplacenja należnych podatków pod rygorem egzekucji, jeżeli należne podatki nie zostaną zapłacone w terminie 14 dni od doręczenia upomnienia.

ZARZĄD ZWIĄZKU GMIN

Upomnienie za niezaplacony podatek gruntowy za lata 1938 – 1940.

VERWALTUNG DES GEMEINDEVERBANDES
 ZARZĄD ZWIĄZKU GMIN
 in Warschau, 6. Auguststr. Nr. 34
 w Warszawie, ul. 6 Sierpnia Nr 34

QUITTING Nr. 094117
 KWIT

Rechnungsjahr 19 *43/44*
 Rok obrotkowy

für die erhaltenen von Herrn (Frau) *Koltonienka Ad.*
 na otrzymane od p.

Gemeinde *Legowo*
 Gmina

Konto-Nr. *24191*
 Nr konta

Wegesteuer (-gebühr) von Gebäuden für das Jahr 19 *38*
 tyt. podatku (opłaty) drog. od budynków za r.

Zuschlag

dopłaty

Zinsen

odsetek

Wegesteuer (-gebühr) von für das Jahr 19 *39*
 tyt. podatku (opłaty) drog. od za r.

Zuschlag

dopłaty

Zinsen

odsetek

Wegesteuer (-gebühr) von Grundstücken für das Jahr 19 *40*
 tyt. podatku (opłaty) drog. od gruntów za r.

Zuschlag

dopłaty

Zinsen

odsetek

Spezieller Zuschlag zum Bau der Strasse
 tyt. specjalnej dopłaty na budowę drogi

für das Jahr 19

Zinsen

odsetek

Investitionssteuer
 tyt. podatku inwestycyjnego

Zinsen

odsetek

die Mahnungskosten
 tyt. kosztów upomnienia



Zusammen
 Razem

Zl.	Gr.
<i>6.30</i>	
<i>5.25</i>	
<i>5.25</i>	
<i>1.7</i>	
<i>17.80</i>	

BEZAHLT
 ZAPŁACONO

wörtlich Zloty
 słownie złotych

Gr.
 gr

Warschau, den *18/6*
 Warszawa, dn.

194 *3*

Der Steuereinnnehmer
 Poborca

Potwierdzenia opłaty podatku gruntowego za lata 1938 – 1940.

OBWIESZCZENIE

Na podstawie zarządzenia Szeffa Okręgu w Warszawie o środkach do wytopienia szczurów z dnia 29.9.1941 wydaje się dla starostw powiatowych Okręgu Warszawskiego następujące przepisy wykonawcze:

I. Do topienia szczurów na koszt własny obowiązani są zgodnie z ust. 2 powyższego zarządzenia: właściciele, dzierżawcy lub administratorzy zabudowanych i niezabudowanych posesyj, zarządcy składnic, wysypisk i omentarzy, jak również zobowiązani do utrzymywania tam, wybrzeży i pomieszczeń na statkach.

Do topienia szczurów w domach bezpańskich obowiązana jest gmina.

II. W kwietniu 1943 r. wszyscy obowiązani do zakupu trutki otrzymają za poświadczeniem zawiadomienie z tekstem niniejszego obwieszczenia i z podaniem właściwego dla nich punktu rozdzielczego. Kto takiego zawiadomienia z zarządzeniem nie otrzyma, obowiązany jest odnośny formularz odebrać we właściwym miejscu rozdzielczym. Szczegółów dot. miejsca rozdzielczego może się każdy obowiązany dowiedzieć u właściwej władzy miejscowej.

W oświadczeniu, na odwrotnej stronie zawiadomienia, w rubryce dla miast, należy podać dokładną liczbę osób. Dla posesyj, nieprzeznaczonych na cele mieszkalne, oraz dla ogrodzonych placów i podwórz należy podać powierzchnię w metrach kwadratowych.

Przy gruntach rolniczych, tak po wsiach jak i w miastach, należy podać wielkość w hektarach.

Na podstawie tych danych punkt rozdzielczy oblicza potrzebne ilości trutek.

III. Obliczanie ilości preparatu, którą należy wyłożyć: Dla zamieszkałych posesyj w miastach, należy zakupić i wyłożyć na każde 6 osób conajmniej 1 paczkę trutki. Ponadto dla niemieszkalnych budynków, jak fabryki, składy, warsztaty, domy handlowe, stajnie, śpiżnice, garaże i t. d. jak również dla ogrodzonych placów i podwórz oblicza się ilość trutki odpowiednio do powierzchni tych nieruchomości.

Na każde 100 m² zabudowanej i na każde 200 m² niezabudowanej powierzchni należy zakupić i wyłożyć 1 paczkę truczyny.

Dla gruntów rolniczych w gminach wiejskich i w miastach należy zakupić i wyłożyć następujące ilości trutki:

Dla gruntów do	—	1 ha	= 1 paczkę
" "	od 1 —	3 "	= 2 paczki
" "	" 3 —	5 "	= 3 "
" "	" 5 —	10 "	= 5 paczek
" "	" 10 —	20 "	= 7 "
" "	" 20 —	50 "	= 10 "
" "	" 50 —	100 "	= 16 "
" "	ponad 100 —	200 "	= 22 paczki
	na każde dalszych 100 ha		= 6 paczek.

W niektórych miastach, dzielnicach miast oraz gminach wiejskich ilość trutki, którą należy wyłożyć, może być przez władzę podwyższona.

IV. Wszyscy obowiązani do wyłożenia trutki winni się zgłosić w ciągu 1 tygodnia od otrzymania zawiadomienia z wypełnioną deklaracją do właściwego miejsca rozdzielczego i wnieść tam opłatę za ilość trutki podaną w deklaracji. Wnieślenie opłaty poświadcza miejsce rozdzielcze stemplem i podpisem.

Trutka wydawana będzie w miejscu rozdzielczym tylko za okazaniem ostemplowanej deklaracji. Do odbioru trutki uprawnieni są tylko dorośli.

Dla celów kontroli powinien nabywca zachować deklarację i puste opakowanie trutki aż do zakończenia akcji. Trutka nieodebrana przepada na rzecz zarządu gminnego.

V. Na dwa dni przed wyłożeniem trutki osoby obowiązane do odszczurzenia winny dopilnować całkowitego usunięcia śmieci i odpadków, stanowiących przynętę dla szczurów. Artykuły żywnościowe i paszę należy tak przechowywać, aby były zabezpieczone przed szczurami.

W ustalonym dniu, który jeszcze będzie podany, winni obowiązani w odpowiednich miejscach rozłożyć trukie przeciw szczirom, m. in. w piwnicach, na strychach, w śpiżniach, śmietnikach (dołach do popiołu i odpadków), w ściekach, starzych murach, ogrodach, w pobliżu nawozu, w stajniach, na brzegach ścieków i kanałów oraz na przystankach i statkach. Trutka musi pozostać w miejscu rozłożenia przez 5 dni.

Termin, w którym miejsca rozdzielcze wydawać będą preparaty, zostanie podany do publicznej wiadomości w sposób przyjęty w danej miejscowości. Dzień wyłożenia naznaczony będzie ogólnie dla wszystkich powiatów i również ogłoszony we właściwym czasie.

Trutkę należy tak zabezpieczyć, aby dzieci i zwierzęta domowe nie miały do niej dostępu. Za pomocą nalepek ostrzegawczych z napisem „TRUCIZNA NA SZCZURY” należy zwrócić uwagę na fakt rozłożenia trutki.

VI. Czwartego dnia po wyłożeniu trutki należy uszczelnić nory szcziurze mieszaniną cementu, gipsu lub gliny z tłuczonym szkłem itp. W miarę potrzeby należy również przedsięwziąć inne środki (ewent. także przeprowadzić zmiany w samej budowl), możliwie utrudniające ponowne pojawienie się szczurów.

Padłe szcziury należy natychmiast po znalezieniu zapakować lub spalić. Pozostałe resztki truczyny należy również spalić.

VII. Cena detaliczna trutki wynosi za paczkę 1,50 zł.

VIII. Jako środek do odszczurzenia dopuszczony jest tylko stosunkowo nieszkodliwy dla ludzi i zwierząt i urzędowo zbadany preparat z cebuli morskiej „Delicia” w formie stałej. Na paczkach powinno być podane nazwisko i miejsce zamieszkania wytwórcy oraz nazwa środka do topienia szczurów. Wymieniony preparat należy używać dokładnie według przepisu, dołączonego do każdej paczki.

IX. O ile się okaże, że zastosowanie nadal trwa, winni obowiązani do tego według p. I, w dalszym ciągu zwalczać szcziury. W razie odmowy lub niemożności wykonania tego, odszczurzenie może być przeprowadzone przez specjalistów na koszt osoby zobowiązanej.

X. Niestosowanie się do niniejszego zarządzenia karane będzie według rozporządzenia o postępowaniu karno-administracyjnym w Generalnym Gubernatorstwie z dnia 13-go września 1940 r. (Dz. rozp. G. G. I. str. 300).

Karzę podlega nie tylko osoba zobowiązana, która wogóle nie wyłoży trutki, lecz również i taka, która wyłoży zbyt małe ilości.

XI. Starostwie Powiatowi w okręgu warszawskim otrzymał polecenie przeprowadzenia niniejszego zarządzenia i kontroli stosowanych środków.

XII. Funkcjonariusze policji lub inne przez Starostę Powiatowego upoważnione osoby sprawdzają przeprowadzenie niniejszego zarządzenia. Na żądanie należy im wskazać miejsca, w których wyłożono środki odszczurzające; szczególnie należy im umożliwić dostęp do piwnic, strychów, szop i podwórz.

XIII. Zarządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem 1. 4. 1943 r.

Warszawa, dnia 27 marca 1943 r.

Kierownik Wydziału (-) Dr. Jüngst

Platz für die Adresse:
Miejsce na adresie

Memorja Łofia

Batorogo 65

1. Laut unseitiger Bekanntmachung ist das Rattenpräparat „Delicia“ in der unten angegebenen Verteilungsstelle einzukaufen.

W myśl drugostronnego obwieszczenia trutkę na szczury „Delicia“ należy zakupić w niżej podanym miejscu rozdzielczym.

ZARZĄD GMINNY W LEGIONOWIE

POW. WARSZAWSKI

Nr *178/18*

Stempel.
Pieczęć.

Erklärung

Oświadczenie

2. **Betrifft Städte:**
Dotyczy miast:

Ich erkläre hiermit:

Oświadczam niniejszym:

- a) im Grundstück Str. *Batorogo* Nr. *65* wohnen Personen:
a) w posesji przy ul. mieszka osób;
b) nicht zu Wohnzwecken bestimmte Gebäude (Fabriken, Lagerhäuser, Werkstätten, Geschäfts-
b) budynki niemieszkalne (fabryki, składy, warsztaty, domy handlowe, stajnie, śpiżnice, ga-
häuser, Stallungen, Speicher, Garagen usw.) nehmen eine bebaute Fläche von m² ein;
raze itd.) zajmują powierzchnię zabudowanej m²;
c) eingefriedete Höfe und Plätze nehmen eine unbebaute Fläche von m² ein;
c) podwórza i place ogrodzone zajmują powierzchnię niezabudowanej m²;

Betrifft Landgemeinden (und evtl. Städte):
Dotyczy gmin wiejskich (i ewent. miast):

Das landwirtschaftliche Grundstück (Gärtnerei usw.) ist ha gross.
Posesja rolnicza (ogrodnictwo itd.) wynosi ha.

Legionowo den *- 8 CZER. 1943* 194
dnia 194

Unterschrift
des Verpflichteten.
Podpis
osoby zobowiązanej.

3. Die Verteilungsstelle errechnet auf Grund der obigen Erklärung die erforderliche Giftmenge.
Miejsce rozdzielcze oblicza na podstawie powyższej deklaracji przepisana ilość trutki.

In Städten zu Punkt a) *3* Packungen
W miastach do punktu paczek

b)

c)

In Landgemeinden u. evtl. Städten (für landwirtschaftl. Grundstücke) Packungen.
W gminach wiejskich i ewent. w miastach (dla gruntów rolniczych) paczek.

Den Betrag von *2* Zl *40* gr. erhalten zu haben bescheinigt
Kwota Zl gr. otrzymałem co niniejszym kwituje.

Nr. der Inasso-Liste unter Nummer *178/15*
Nr listy Inasso-Listy pod Nr

den 194
dnia 194

Die Verteilungsstelle
Unterschrift u. Stempel
Miejsce rozdzielcze
Podpis i pieczęć

Nr *18/17*

Imienne wezwanie do odbioru trutki na szczury.

KUNDENSCHHEIN III ODCINEK KONTROLNY				KUNDENSCHHEIN IV ODCINEK KONTROLNY				
Name u. Vorname — Adresse				Name u. Vorname — Adresse				
M Mąka 24	M Mąka 26	N Różne 47	N Różne 48	№ 086189		N Różne 42	A Marmolada 30	
Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43			Kwiecień 43	Kwiecień 43	
M Mąka 25	M Mąka 27	N Różne 46	N Różne 49	LEBENSMITTELKARTE KARTA ŻYWNOŚCIOWA		N Różne 41	A Marmolada 31	
Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43			Kwiecień 43	Kwiecień 43	
N Różne 43	N Różne 44	N Różne 45	N Różne 50	Gültig für den Monat April 1943 — Ważna do miesiąc kwiecień 1943		N Różne 40	N Różne 37	N Różne 32
Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kreis <i>Wielki Łódzki</i>		Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43
				Name <i>Wojciechowski</i>		N Różne 39	N Różne 36	N Różne 33
				Wohnort <i>Kosminski 108</i>		Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43
				Strasse <i>ulica</i>		Nicht übertragbar! — Bez prawa odstąpienia Bei Verlust kein Ersatz! W razie zaginięcia duplikat wydany nie będzie!		
				KUNDENLISTENNUMMERN — NUMERY LIST KONSUMENTÓW		N Różne 38	N Różne 35	N Różne 34
				I Nr <i>20374</i>		Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43
				II Nr				
				III Nr				
				IV Nr				
Z Cukier 18	Z Cukier 19	N Różne 52	N Różne 54	N Różne 56	F Mięso 23	F Mięso 22		
Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43		
N Różne 51	N Różne 53	N Różne 55	F Mięso 21	F Mięso 20				
Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43	Kwiecień 43				

Niemieckie okupacyjne kartki żywnościowe na kwiecień 1943 roku.

LATA POWOJENNE DZIECIŃSTWO

Koniec roku 1944 i początek 1945 to powrót mieszkańców Legionowa z wysiedlenia do swoich okaleczonych w różnym stopniu domów. Ich mury nosiły ślady po kulach lub, co gorsze, brakowało części ściany. Nie zawsze odnajdywano stolarkę okienną, czy też drzwi. Drewniane płoty, ścięte drzewa i stolarkę palili Niemcy, gdy zatrzymał się front – od października 1944 r. do stycznia 1945. Moja Rodzina też wróciła z wysiedlenia do domu mojej babci, który został zbudowany w roku 1928 przy ulicy Lubelskiej 9. Z opowiadań Rodziców wiem, że w ścianie od strony wschodniej znajdowała się wielka dziura o średnicy około 1 m. Nie był to duży dom, gdyż nasza część składała się z jednego pokoju i kuchni oraz niewielkiego wejścia, nazywanego wtedy sionką. Zaraz po wojnie mieszkało tam siedem osób, tj. Rodzice, Babcia i jej siostra Zosia, no i my, troje dzieci – Marek, Jurek oraz ja (najmłodszy Mirek urodził się w roku 1954). Drugą połowę tego budynku, o takim samym układzie pomieszczeń, zajmowała ciocia Raszkowska z mężem i trójką dzieci.

Życie wracało na Przystanek, a wraz z nim reaktywowano sklepy i punkty usługowe. Do tych bardziej znanych mi wówczas należał sklep spożywczy u zbiegu ulic Mazowieckiej i Piastowskiej, należący do Zofii i Franciszka Małeckich. Działała też piekarnia wraz ze sklepem Antoniny i Stanisława Jarosów przy ulicy Kościuszki 106. W roku 1946 przy Kościuszki 102 została otwarta prywatna apteka magistrów farmacji Mariana Taszyckiego i jego żony.

W budynku mieszkalnym państwa Jarosów przy ulicy Kościuszki 106, tuż obok piekarni, była mydlarnia, którą prowadził Edward Komorowski. Szczupły, wysoki pan, zawsze w swoim sklepie w szarym fartuchu, sprzedawał farby, kleje, szczotki wszelkiego rozmiaru

i inne artykuły gospodarstwa domowego. Wypożyczał też wałki do malowania, które miały różne wzory: kwiatki, figury, zygzaki. Takim wałkiem odbijało się te ozdóbki na pomalowanej ścianie. Dekorowanie mieszkań w ten sposób było wówczas powszechne. Do ważnych artykułów w sklepie pana Komorowskiego należały ponadto lampy do oświetlania pomieszczeń i oczywiście nafta do nich, bo trzeba nadmienić, że do roku 1951 na ulicach Lubelskiej i paru innych mieszkańców nie mieli światła elektrycznego.

Przy ulicy Krakowskiej 12 znajdował się sklep spożywczy, w którym zawsze ustawiały się kolejki, szczególnie po mleko, gdyż nigdy nie wiedzieliśmy, o której godzinie zostanie przywiezione. Jednak co ważne, do tego sklepu mieliśmy blisko. Przechodziło się przez plac państwa Łazarskich od strony Lubelskiej, potem dalej przez plac pani Perkowskiej przy Krakowskiej i już. Wielu właścicieli nie miało ogrodzonych posesji i można było przez nie chodzić, a i ludzie odznaczali się większą tolerancją i nikomu to nie przeszkadzało. Ci właściciele, którzy grodzili swoje posesje, używali do tego bardzo popularnego i dostępnego wtedy drutu kolczastego. Dla nas, chłopaków, nie stanowiło to zbyt dużej przeszkody, bo rozchylaliśmy druty i po chwili staliśmy w środku. Jednak często rozdzielaliśmy koszulki lub spodenki ostrym drutem, a wtedy w domu nie było wesoło.

Moje dzieciństwo, które trochę pamiętam, spędzałem w przedszkolu przy ulicy Jagiellońskiej 40. Był to przedwojenny piętrowy budynek z wieloma śladami od pocisków i kul na elewacji. Latem bawiliśmy się na ogrodzonym już placu, należącym do przedszkola. Jeśli panie wychowawczynie nie wymyśliły jakiejś wspólnej zabawy, to najczęściej chłopcy bawili się w kopanie dołów. Nie było to też takie łatwe, bo mieliśmy może cztery czy pięć saperek wojskowych i kto pierwszy zdobył ten szpadek, był szczęśliwy.

Zimą wychowawczynie prowadziła grupę w okolice dzisiejszego stadionu, gdzie na tamtych rozlewiskach ślizgaliśmy się na butach. Kto miał, przynosił z domu sanki i tak się wtedy bawiliśmy. W przedszkolu poznałem wiele koleżanek i kolegów, z którymi później chodziłem do Szkoły Podstawowej nr 2 przy ulicy Jagiellońskiej 67. Jednym z nich był Heniek Drożdżewski, który również mieszkał na ulicy Lubelskiej.

Beztróskie lata w przedszkolu szybko się skończyły i w wieku siedmiu lat zacząłem naukę w szkole podstawowej. W tym samym drewnianym budynku sprzed drugiej wojny światowej. Dodatkowo Zarząd Gminy Legionowo na potrzeby szkoły wynajął parter i pierwsze piętro w prywatnym domu należącym do Bolesława Kuchcińskiego. Wale-rem takiego rozwiązania była jego lokalizacja – przy ulicy Jagiellońskiej 74 (dawniej 90), czyli prawie naprzeciwko drewnianej szkoły. Na drugim piętrze tego budynku mieszkali jego właściciele oraz woźny szkoły Stefan Urbański z żoną Czesławą. I tak od roku 1949 zaczęła się moja edukacja szkolna.

Pierwsze, co zapamiętałem, poza nauką oczywiście, to codzienne zażywanie tranu. Ten okropny mdły zapach nie zachęcał do picia. Dlatego większość uczniów brała z domu kawałek chleba z cebulą, by po wypiciu łyżki specyfiku zagryźć od razu i w ten sposób za- bić przykry zapach. Nie bardzo rozumieliśmy, ale było to konieczne dla naszego zdrowia. Odbywało się w ten sposób, że pani nauczycielka stawiała z litrową butlą przy drzwiach i każdy, kto wychodził na kory- tarz, chcąc nie chcąc, musiał łyżkę tranu wypić. Wszyscy pili oczywiście z jednej łyżki.

Drewniana szkoła nie zmieniła się od czasów przedwojennych. Znajdowały się w niej cztery klasy lekcyjne, szatnia, korytarz oraz gabinet kierownika szkoły i pokój nauczycielski. Ubikacje stały w odległości 70–80 m od budynku szkolnego, wokół którego teren nie był ogrodzony. Poza nim, aż do ulicy Krakowskiej ciągnęły się bagna, a wyżej położony teren, gdzie obecnie jest restauracja „Zajazd Oficerski”, zajmowały piękne wydmy.

Po nauce z elementarza pana Falskiego życie nasze upływało na różnych zabawach na ulicy Lubelskiej. Tutaj przybywało coraz wię- cej chłopaków. Wiekowo tworzyli jakby trzy grupy. Do tej najstarszej należeli Janek i Zenek Szafrąnczy, Janusz Szałkowski, Rysiek Ro- słoński, Tadeusz Janiszewski, Stefan Surowski, no i rodzynek, śliczna Romka Siemieniak – wszyscy z ulicy Lubelskiej. Poza nimi też Ha- nia i Bogdan Zarzyccy z Krakowskiej. Grupa ta była starsza od naszej 8–10-latków o około 6–9 lat.

W tej drugiej grupie – można ją nazwać *średniaków* – byłem ja i mój brat Marek, Heniek Drożdżewski, Józiek Artaniak,

Janusz Gierymski, Jurek Szałkowski, Wiesiek Szafranski, Waldek Plichta, Maciek Bziuk, Józek Wyganowski, Władek Zębowicz, Jurek Zadarnowski, Andrzej Rosłoński oraz Hania Sokołowska z Mazowieckiej. Do najmłodszej grupki, która miała od nas 5–6 lat mniej, należeli Jurek Szulc, Tadzio Artaniak i Zygmunt Beszczyński. Z nimi mieliśmy zawsze kłopot. My, 8- czy 12-latkowie, bawiliśmy się w co innego niż ci malcy, którzy tylko nam przeszkadzali. Jednak nasi rodzice kazali ich pilnować i nie było wyjścia, chociaż i tak często im uciekaliśmy.

Różnie organizowaliśmy sobie czas wolny od szkoły. Jedną z zabaw było po prostu kopanie dołu, by dokopać się do wody. A kiedy po paru godzinach osiągnęliśmy cel, ogarniała nas wielka radość i kończyła się zabawa, która jednak wymagała trochę siły. Kiedy to nam się znudziło, wymyśliliśmy sobie inną rozrywkę. Po podziale na dwie grupy, jedna kopała głęboki dół, szeroki na cztery metry i tak samo długi. Druga z nich kopała taki sam w odległości 15–20 m od tamtego. Grupy się zbroiły, znosząc do dołu kamienie i gruz, i wtedy zaczynała się walka na kamienie. Na szczęście nikt nigdy nie ucierpiał. Chociaż pewnego razu mogło się to skończyć dla małego Tadzia Artaniaka niezbyt przyjemnie.

Otóż każdy z nas nosił na głowie hełm, bo tego było w pobliskich okopach pod dostatkiem, zresztą tak samo jak i amunicji karabinowej – pozostałości po drugiej wojnie światowej i przejściu przez nasz teren frontu. Dla Tadzia wszystkie hełmy były za duże, więc wymyśliliśmy, że na jego głowę założymy jakiś stary garnek. Po tej bezkrwawej bitwie na kamienie okazało się, że Tadzio nie może zdjąć nieszczęsnego garnka. Byliśmy przerażeni, ale zawiadomiliśmy rodziców o wypadku. Jednak wysiłek jego taty, pana Drożdżewskiego, i mego taty spełzył na niczym, więc postanowiono zawieźć go do zakładu ślusarskiego pana Szyperka, mieszczącego się na ulicy Warszawskiej przy Handlowej. Jak tam został zawieziony i jak długo to trwało, nie pamiętam, ale wrócił już bez garnka i z opuchniętą głową.

Jeśli już jestem przy naszych głupich (z dzisiejszego punktu widzenia) zabawach, to wspomnę o wrzucaniu naboju karabinowych do ogniska. I jak ku naszej radości wszystko to strzelało... Trzeba jednak powiedzieć, że koniec lat 40. i lata 50. ubiegłego wieku to jeszcze czasy, w których w Legionowie znajdowało się bardzo dużo wolnych

placów. Biegaliśmy poprzez nie od ulicy Lubelskiej aż do ulicy Poznańskiej. Tak samo tuż za placem pana Drożdżewskiego (Lubelska 12) do ulicy Wileńskiej i domu państwa Walczaków – cały ten teren do ulicy Mazowieckiej był całkowicie pusty, poprzecinany tylko okopami wojskowymi i jednym schronem przy Lubelskiej. Jednak takich zabaw szybko zaprzestaliśmy, bo dowiedzieli się o nich nasi rodzice i poprzez „łagodne” potraktowanie paskiem wybili nam je z głowy.

Inną zabawą, która zajmowała nam parę godzin, były podchody. Jedna grupka osób uciekała i kreśliła na piaszczystych ulicach strzałki, znacząc swoją marszrutę, by po jakimś czasie druga grupa mogła podążyć jej śladem. Grupa zostawiała w pewnym momencie list z wiadomością, gdzie się ukryła. Kryjówek mieliśmy bardzo dużo, gdyż wiele domów stało pustych, tak jak i wiele placów z gęstymi krzakami.

Po takiej gonitwie musieliśmy odpocząć i graliśmy wtedy w pikuty lub hacele. Żeby zdobyć hacele (duże śruby mocowane w podkowach, by konie się nie ślizgały), chodziliśmy pokrytą brukiem ulicą Batorego i tam, między kamieniami, znajdowaliśmy jakiś hacel, który odpadł z końskiego kopyta.

Nasz punkt zborny znajdował się przy drewnianym budynku na Lubelskiej 6, gdzie w jednej połowie domu (pokój z kuchnią) mieszkała rodzina państwa Artaniaków, a w drugiej – rodzina Beszczyńskich. Duże znaczenie miał fakt, że plac nie miał ogrodzenia, a i weranda stała dla nas otworem. Wszystkie nasze zabawy latem odbywały się na naszej ulicy Lubelskiej. Wtedy modna stała się gra w „zośkę”. Boisko wyrysowaliśmy na ulicy. Każdy z chłopaków starał się, by jego „zośka” była jak najlepiej wykonana, a wełna przyczepiona do kawałka ołowiu jak najbardziej kolorowa. Tak było też z czapczkami (mycki, krymki), które robiły nasze babcie lub mamy.

Najczęściej kłóciliśmy się przy grze w piłkę nożną. Chociaż nazywać piłką to, czym graliśmy, to duża przesada. Nawet wysuszony świński pęcherz napełnialiśmy szmatami i bawiliśmy się doskonale, tyle że na długo taka „piłka” nam nie starczała.

Rok 1950 to koniec prywatnego handlu w sklepach na Przystanku. Nowa władza w Polsce zabroniła prowadzenia właścicielom

ich własnych firm lub sklepów. Tak też się stało ze sklepem państwa Małeckich przy ulicy Mazowieckiej. Najpierw przejęła go Samopomoc Chłopska, z obsługą właścicieli domu Zofii i Franciszka Małeckich, by niedługo potem zabronić małżeństwu sprzedaży. Sklep został zlikwidowany. Jeszcze gorzej postąpiono z piekarnią Antoniny i Stanisława Jaroszków. Z całego budynku piekarni właściciele zostali po prostu wywłaszczeni, a piekarnię przejął PSS „Społem” z Legionowa. Pani Antonina Jarosz, by mieć z czego żyć, wystawiła po drugiej stronie ronda mały kiosk ze słodyczami, napojami i piwem. Taki sam los spotkał aptekę pana Taszyckiego, którą przejął „Cefarm” (zarząd aptek). Ale tu chyba z braku fachowców pozwolono, by pracowali w niej państwo Taszyccy, magistrowie farmacji, i apteka ta była czynna aż do ich przejścia na emeryturę.

Na zabawy zostawało coraz mniej czasu, gdyż szkoła i nauka pochłaniała go coraz więcej. Do ukończenia IV klasy nasza nauka odbywała się w drewnianym budynku. Jak pamiętam, ważną figurą dla nas, oczywiście poza nauczycielami, był woźny – pan Stefan Urbański. Nieraz wytarnosił za uszy po naszych wygłupach. Tak też się często składało, że w czasie lekcji zabrakło atramentu w kałamarzu. Wtedy dostojnie wkraczał pan Urbański i, nie spiesząc się, uzupełniał kałamarze. My mieliśmy satysfakcję, że urwało się trochę lekcji.

Z nauczycieli, którzy wtedy uczyli w szkole, pamiętam moją wychowawczynię, panią Genowefę Zawodniak oraz nauczycielki: Stanisławę Generowicz od matematyki, której syn Marian chodził razem ze mną do jednej klasy, Marię Burską od języka rosyjskiego, Annę Trapszo, Irenę Cedro, Marię Szulc, Annę Bykowską i Wacławę Lipińską. Co do kierowników szkoły, w czasie mojej edukacji byli nimi: Maria Burska, Anastazy Felc, Maria Szulc i Saturnin Duliński.

Starsze klasy uczyły się najczęściej w „białej szkole” – tak potocznie mówiło się o drugim budynku szkolnym, wynajętym przez miasto od państwa Kuchcińskich. Nie miało znaczenia, w której ze szkół się uczyliśmy. Zawsze, kiedy uczeń przewinił, czekała go kara. Stanie w kącie to było nic. Gorzej, jeśli nauczycielka wzywała do siebie do stolika i padały groźne słowa: wystaw rękę. Wtedy dostawaliśmy od trzech do pięciu uderzeń linijką czy piórnikiem. Była to kara za przewinienie i każdy z nas wiedział, że na nią zasłużył. Tą karą nikt

nie chwalił się rodzicom, bo mógł dostać taką samą w domu. Nikomu to jednak nie zaszkodziło i teraz wspomnienia z tym związane przychodzą z wielką nostalgią i uśmiechem.

Po przyjściu ze szkoły czekało na nas odrabianie lekcji. Trzeba wiedzieć, że w pierwszych latach powojennych ulica Lubelska nie posiadała jeszcze elektryczności i lekcje odrabiano się przy lampie naftowej, co nie było zbyt komfortowe.

W naszym skromnym mieszkaniu nie znalazło się zbyt wiele miejsca na meble. Pamiętam, że mój starszy brat Marek i ja mieliśmy do dyspozycji etażerkę – taki jakby regalik z wikliny, szerokości 40 cm i wysokości około 1,5 m, z czterema półkami.

Pomimo braku światła zawsze z wielką nostalgią wspominam święta Bożego Narodzenia. Zapach choinki i te świeczki w lichtarzach, o których zapalenie na choince zawsze kłóciliśmy się z bratem. Każdy chciał być tym, który to robi. I oczywiście te prezenty od Mikołaja, może skromniejsze niż teraz, ale zawsze wywoływały radość.

W roku 1950 lub 1951 mój tata, murarz z zawodu, żeby zmniejszyć domową ciasnotę, dobudował od strony ulicy Lubelskiej jeden pokój, a od podwórka powiększył kuchnię. Żył się nam już łatwiej, bo wcześniej w roku 1948 tata ukończył budowlane kursy mistrzowskie i mógł samodzielnie prowadzić budowy jako ich kierownik. Pracował wtedy w Przedsiębiorstwie Budowlanym w Warszawie. Praca ta mało co nie skończyła się całkowitą zmianą naszego życia. Jako mistrz budowlany został oddelegowany z firmy do budowy nowo powstającego miasta Nowa Huta. Po roku delegacji wrócił do Warszawy, lecz Dyrekcja z Nowej Huty koniecznie chciała, by wrócił, i zaferowała mu cztery pokoje z kuchnią w bloku. Jednak tata nie dał się skusić i dzięki temu zostaliśmy w Legionowie.

Podwórka na Przystanku wyglądały podobnie. Na każdym stał taki mały intymny domek z wyciętym w drzwiach rombem. Obowiązkowo wykopywano dół na śmieci, a gdy się nappełnił, zasypywano go i kopano w innym miejscu. Musiała być też komórka, nie tylko na węgiel, bo chowano tam kury lub króliki, a przed komórką stał pień z siekierą do rąbania drewna na opał. I oczywiście na środku podwórka znajdowała się studnia z kołowrotkiem do czerpania wody. Co do drewna, to część przynosiło się z lasu chotomowskiego,

oddalonego od nas około 2 km. Pamiętam, że chyba raz w tygodniu panie: Drożdżewska, Artaniak, moja babcia i mama chodziły do tego lasu i na plecach przynosiły po wiązce chrustu.

Koniec lat 40. i początek 50. ubiegłego wieku to czas modnego wtedy handlu obwoźnego. Przyjeżdżał jakiś handlowiec wozem konnym i już z daleka dochodził jego donośny głos: „Matki, matki dajcie szmatki, bo za szmatki dostaniecie cały dom towarowy”. Ten dom towarowy to były sztuce, zastawa stołowa i wiele innych drobiazgów potrzebnych w gospodarstwie domowym. Ktoś inny jeździł i skupował butelki. Pamiętam, że za butelkę litrową płacił 60 gr, za półlitrową 40 gr i za ćwiartkę 20 gr. Dzieciaki skrzętnie zbierały butelki, bo dostawały za to pieniądze.

Życie w tych czasach nie było wesołe, kolejki ustawiały się po wszystko. Po mleko, chleb. Najgorsze przychodziło zimową porą, gdy musieliśmy stać po węgiel. Punkt sprzedaży znajdował się na ulicy Kościuszki 56. Najpierw w kolejkę o godzinie 4.00 rano szła babcia, przed pójściem do szkoły – ja z bratem, a potem mama. Nigdy nie wiedzieliśmy, o której godzinie będzie dostawa, a mróz był siarczysty. Czekano się na dworze, aby kupić pół metra węgla, który reglamentowano, by dla wszystkich starczyło.

Zimą czekała na nas jazda na sankach z niewielkiej górki przy ulicy Poznańskiej. Nazywaliśmy ją górką Płatka (pan Płatek mieszkał obok). Później zaczynały się łyżwy, na których jeździliśmy po mocno ubitym śniegu na ulicach lub na zamrożonych bagnach, ciągnących się między ulicą Krakowską i Jagiellońską, i potem jak dzisiejszy stadion miejski oraz dalej obok plebanii kościoła, gdzie jeszcze długie lata znajdowały się głębokie parowy.

Jedna z takich zabaw na łyżwach na tym naturalnym lodowisku, gdzie obecnie znajduje się główna płyta boiska sportowego, o mało nie zakończyła się dla mnie tragicznie. Wtedy rzeźnicy wyrąbywali tafle lodu, przysypywali trocinami i tworzyli w ten sposób takie lodówki jak w magazynach z mięsem. Grubość tego wyciętego lodu wahała się od 30 do 40 cm. Ja chciałem sprawdzić, czy nowy lód po wycięciu już jest twardy. Niestety był zbyt kruchy i najpierw jedna noga wpadła mi do wody, potem druga i za chwilę zacząłem tonąć. W ostatniej chwili, kiedy byłem coraz głębiej, mój brat Marek złapał mnie za rękę.

Prawie wciągnąłbym i jego, ale będący w pobliżu Janusz Gierymski pospieszył z pomocą i wspólnie wyciągnęli mnie na gruby lód. Do domu to już mnie dopchali, bo całe grube ubranie szybko na mnie zamarzło. W domu obeszło się bez krzyków. Szybko mnie rozebrano, wypiliśmy chyba ze dwa garnuszki herbaty z sokiem malinowym i pod pierzynę. Na szczęście poza tym, że najadłem się strachu, nic mi się nie stało.

Jazda na łyżwach nie należała do prostych. Najpierw trzeba było w obcasie buta wydrążyć dziurę, na którą przybijało się płatkę – taki metalowy kwadrat – i w tę dziurę wchodził tył łyżwy. Z przodu przykręcało się łyżwę kluczykiem do boku buta. Tutaj nieoceniony był pan Jan Drożdżewski, który dorabiał sobie szewstwem. Nie zawsze mieliśmy pieniądze, żeby zapłacić, ale pan Jan tylko machał ręką i robił to za darmo. Ile przy tym odpadało obcasów..., a rodzice nie zawsze okazywali się wyrozumiali. Wiele razy z pomocą przychodził nam znów pan Jan.

W szkole na lekcji gimnastyki często chodziliśmy na górkę, która znajdowała się obok budynku mieszkalnego państwa Sarnowskich przy ulicy Jagiellońskiej 66. Z jednej strony spadek wzniesienia prowadził do ulicy Jagiellońskiej, a z drugiej do ulicy Batorego. Najczęściej zjeżdżaliśmy na butach, bo śnieg tak się ubijał, że powstawał lód i zabawa była doskonała. W połowie tego naszego stoku robiliśmy skocznię, tak że jak ktoś jechał na sankach, to wybijał się w górę, co się najczęściej kończyło upadkiem i stawało powodem wielu żartów i śmiechu.

W budynkach naszych szkół w każdym pomieszczeniu stał piec kaflowy, tak że pan Urbański wraz z żoną mieli dużo pracy, by z samego rana rozpalić ogień i utrzymać ciepło cały dzień. Często w czasie lekcji przychodził woźny i podkładał węgiel do pieca. Robiło się przy tym trochę dymu w klasie, ale nie było innego wyjścia.

W czasie wolnym od lekcji lub w czasie wakacji nasze życie koleżeńskie toczyło się w okolicach ulicy Lubelskiej. Szczególnie intrygował nas duży piętrowy dom przy ulicy Gnieźnieńskiej. Był niezamieszany, a cały plac wokół zalesiony. W końcu ośmiu czy dziesięciu z nas odważyło się tam wejść. Przedtem rozciąliśmy kawałek siatki ogrodzeniowej i z lekkim niepokojem wchodziliśmy. Zastaliśmy w środku okropny bałagan, podłogi na parterze usłane papierami

i dokumentami pisanymi w języku niemieckim. W czasie drugiej wojny światowej Niemcy zajęli ten budynek na jakieś biura, lecz opuszczali go w pośpiechu i zostawili dokumenty. Chłopaki, jak to chłopaki, zaczęli się nawzajem straszyć lub dodawać sobie otuchy. Na piętro już nie zdążyliśmy wejść, bo wydawało się nam, że na górze słychać jakieś hałasy i dźwięki – „coś” zaczęło nas straszyć. Nam to wystarczyło, rzuciliśmy się do ucieczki i oby jak najszybciej doskoczyć do dziury w płocie. Tutaj znów odezwał się pech małego Tadzia Artaniaka. Ten zamiast w dziurę trafił głową w siatkę, odbił się od niej i przewrócił. Mimo strachu wyciągnęliśmy go na zewnątrz, ale więcej już tam nie chodziliśmy ani nie rozmawialiśmy o tym. Fakt faktem, że ten ponury dom, który napędził nam tyle strachu, w takim samym stanie stoi do dziś i mieszka w nim jakieś małżeństwo.

Powojenne rowery, które gdzieś tam przetrwały zawieruchę wojenną, były dużo większe od obecnych. Ramę miały dosyć wysoką i większość z nas uczyła się jazdy na nich w ten sposób, że wygięci w pałąk jeździliśmy pod ramą, co nie było zbyt wygodne, a teraz może wywołać uśmiech. Jednak sama jazda nawet w ten dziwny sposób dawała chłopakom wiele satysfakcji.

Inną naszą zabawą, która wyzwalała w nas rywalizację, była zabawa ze starym kołem od roweru i zrobioną z grubego drutu „popychajką”, wygiętą na końcu w kształcie litery „U”. Kto szybciej przebiegł tak, by koło nie upadło na ziemię, ten wygrywał.

Większość z nas zawsze nosiła w kieszeni jakiś scyzoryk, bo w pewnym okresie stała się modna gra w pikuty. Nie wiem, skąd ją mieliśmy, ale nosiliśmy też w kieszeni rtęć. Zabawa nią polegała na tym, że na jakiejś płaskiej powierzchni uderzaliśmy palcem kulkę rtęci tak, by wchłonęła kulkę rywala. Wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nie było to zbyt bezpieczne, ale jakoś nikomu nic się nie stało.

W letnie upalne dni chodziliśmy się kąpać (nie zawsze za zgodą rodziców). Jeden staw znajdował się u zbiegu ulic Pomorskiej i Grunwaldzkiej, nazywaliśmy go „u Mączki” (od nazwiska właściciela tej pustej wtedy posesji). Dalej na końcu ulicy Pomorskiej były dwa połączone ze sobą stawy, nazywane przez nas umownie „Matraszek” (też zapewne nazywał się tak właściciel gruntu). Na „Matraszka”

chodziliśmy chętniej i tam nauczyliśmy się pływać. Nauka wśród żab i karasek wyglądała w ten sposób, że związywało się sznurkiem garść tataraku, potem drugą i łączyło je razem w odstępnie 40–50 cm. Gdy kładliśmy się na tym naszym wynalazku, tatarak oczywiście nie tonął i można było ruszać rękami i nogami. Po tygodniu czy dwóch takich ćwiczeń pływaliśmy już samodzielnie.

Gdy pogoda nie nadawała się do pływania, wiele czasu poświęcaliśmy na hazard. Graliśmy na pieniądze w „ściankę”. Przy ulicy Lubelskiej 4 stał murowany słupek ogrodzeniowy i odbijaliśmy od niego pieniędzy w taki sposób, by trafił jak najbliżej monety któregoś z graczy. Miarę do wyznaczenia zwycięzcy stanowiła rozpiętość dłoni. Przy tej grze dochodziło do wielu kłótni i nieporozumień. Radość z wygrania paru drobniaków była wielka.

Inna gra na pieniądze to gra w „dychę” – odlewana z ołowiu lub cyny. Odlew taki robiło się prosto, ale by go zrobić, musieliśmy czekać, aby w domu nie pozostawał nikt z dorosłych. Rozpaliliśmy ogień w kuchni węglowej i czekaliśmy, aż fajerki mocno się rozgrzeją. Wtedy ołów otrzymany z kabli wkładało się do najmniejszej fajerki – tej pełnej z wgłębieniem na środku. Po rozpuszczeniu i następnie ostudzeniu ołowiu z takiej formy wychodziła gotowa „dycha”. Gra polegała na tym, by rzucić ją jak najbliżej „kaški”, czyli wyrysowanego na ścieżce prostokąta. Kto znalazł się najbliżej, zbijał rzucone wcześniej monety innych graczy na drugą stronę (z reszki na orła lub odwrotnie). Pieniądze po kilkunastu takich uderzeniach robiły się półokrągłe i często mieliśmy kłopot z ich wydaniem.

Wiele osób na Przystanku hodowało gołębie. Jednym z hodowców był Janek Czajka, który mieszkał w domu państwa Perkowskich przy ulicy Krakowskiej. Nie mógł jednak wystawić budy dla ptaków na posesji właścicieli, więc postawił ją po drugiej stronie ulicy przy pustych placach. Piszę o tym dlatego, że w zasadzie jego gołębnik stał na odkrytym terenie i nigdy nikt tam się nie włamał ani nie ukradł gołębi. Takie to były wtedy czasy.

Tata Heńka, pan Jan Drożdżewski, też był hodowcą gołębi. Któregoś lipcowego dnia nudziliśmy się z Heńkiem okropnie. Pan Jan był w szpitalu i miał wrócić następnego dnia. Wpadliśmy z Heńkiem na wspaniały – naszym zdaniem – pomysł, żeby wyczyścić gołębnik.

Z zapalem wzięliśmy się do pracy. Na trawie obok gołębnika poukładaliśmy jajka, maleńkie gołąbki i ich gniazda. Gdy już skończyliśmy czyścić wnętrze gołębnika, otworzyła się furka i stanął w niej tata Heńka. Kiedy zobaczył tę naszą „pracę”, myślałem, że będzie musiał wrócić do szpitala. Bo jak tu teraz zwrócić prawowitej parze gołębi ich jajka lub młode, nieopierzone gołąbki? Przerażony, nawet nie wiem jak, znalazłem się na ulicy i biegiem do domu. Karę jakąś za swoje „mądrości” ponieśliśmy, a gniew pana Jana po paru dniach minął.

Latem 1951 r., gdy siedzieliśmy sobie w naszym punkcie zbornym obok domu Józka Artaniaka przy Lubelskiej 6, nagle ujrzeliśmy nurkujący samolot, a potem usłyszeliśmy ogromny huk. Zerwaliśmy się szybko i pobiegliśmy w kierunku Legionowa. Na pustym placu (róg Batorego i Krasińskiego) zobaczyliśmy świeży ślad ściętej korony sosny i dalej wrak samolotu. Widok przerażający i tłum ludzi wokół. Przez wiele, wiele lat nie wiedziałem dokładnie, jak to się stało i jakie były losy pilotów. Dopiero niedawno, dzięki uprzejmości pani Joanny Zaniewskiej-Ćwiklińskiej dowiedziałem się, jak doszło do tego wypadku. Wydarzenie to opisane zostało w książce majora pilota Andrzeja Dobrzenieckiego pt. „Pamiętnik pilota”, wydanej w roku 1969 przez wydawnictwo MON. Oto jej fragment dotyczący tego wypadku:

Ale najwyższy czas powiedzieć, co się stało. Otóż pewnego dnia, gdy lataliśmy już na Jakach-23, dwóch naszych kolegów, Bogdan Gazicki i Stanisław Zaniewski, wystartowali na samolocie tłokowym Jak-11. Gdy upłynął czas przeznaczony na zadanie, a oni nie wrócili jeszcze, zaczęliśmy się niepokoić. Zabłądzili? Czekaliśmy na telefon z jakiegoś lotniska, na którym wylądowali nie mogąc trafić do domu.

Wreszcie telefon z... Legionowa.

Samolot jest rozbity doszczętnie. Tylko kabiny pozostały dziwnym trafem całe.

W kilku miejscach trzasnął kadłub, połamało się usterzenie, pogruhotane zostały skrzydła, silnik znaleziono kilkadziesiąt metrów od miejsca wypadku. Jednym słowem – każda część gdzie indziej. Tylko kabiny całe. I piloci bez szwanku.

Pierwszym człowiekiem, który dobiegł do miejsca katastrofy, był ksiądz z pobliskiej parafii. Z pomocą dla ludzi, którzy gramolili się

ze szczątków maszyny? Nie. Z wymyślaniami i z drągiem wylamanym gdzieś z płotu. Gdyż według niego Zaniewski i Gazicki mieli zamiar... rozbić kościół. Dopiero inni ludzie z Legionowa zdołali obronić bezbronnych już, bo znajdujących się w szoku, dwóch lotników.

Jak to się stało, że samolot uległ rozbiciu?

To proste. Kręcili beczki na małej wysokości, oczywiście wbrew zadaniu. Musieli to robić niezbyt precyzyjnie, gdyż samolot zerwał się w korkociąg. Wyprowadzili z tych morderczych obrotów na wysokości koron drzew, zaczepili o jedną z nich i to by było wszystko.

Gdybym przedtem nic takiego nie robił, gdybym nie wspominał z jakąś satysfakcją owego przelotu na Po-2 w czasie kursu zwiadowczego nad wojskiem gazikiem, z którego „wyprysnął” generał, gdyby nie inne tym podobne wykroczenia w moim własnym życiu lotniczym, może nie miałbym tych wszystkich wahań. Poza tym widziałem szczątki samolotu – coś niesłychanego. Że oni wyleźli jakoś z tej kupy szmelcu, bez szwanku, podbite oko Gazickiego przecież się nie liczy.

Byłem zdania, że wystarczy im tego przeżycia, że właściwie karę już ponieśli, że na zawsze odechce się im wyglupiać na małej wysokości, bo zrozumieli dużo więcej, niż mógłby im to wyjaśnić sąd nawet. A tu nacisk przewodniczącego, dość kategoryczne żądanie: trzy lata więzienia. Stoi czarno na białym w kodeksie, że trzy lata można zasądzić.

Ale można i mniej, biorąc pod uwagę dodatkowe okoliczności. Są takie okoliczności. Młody wiek, brak doświadczenia życiowego, sam wypadek wreszcie, przecież bardzo dla nich przykry, stanowiący klęskę. Proponujemy rok w zawieszeniu. My, to znaczy dwóch ławników. Sędzia nie chce się zgodzić, powołuje się na to, że jest profesjonalistą i lepiej wie od nas, ławników, co jest słuszne i co to jest sprawiedliwość.

Wtedy w dyskusji wystąpił Płoszański:

– My też jesteśmy profesjonalistami w dziedzinie, w której występujemy. Proponuję: niech się pan przeleci, panie przewodniczący, ze mną albo z ławnikiem Dobrzeńskim. Zrobimy wizję lokalną z powietrza. Powtórzmy te beczki.

– I zderzymy się z drzewami? – ironizował sędzia.

A Płoszański na to dalej poważny:

– Być może.

Sędzia, rzecz oczywista, nie zgodził się. Myśmy jednak wiedzieli już, powiedział nam prokurator, że o wyroku decyduje większość głosów, on zaś, prokurator, ze swojego urzędu łagodnego wyroku nie będzie skarżyć.

Bo ten prokurator latał również i jestem tego absolutnie pewien, że niejednokrotnie walczył z pokusą obniżenia wysokości wbrew zadaniu. Nie wiem, czy zawsze walczył skutecznie. Myślę, że nie zawsze, nie wydaje mi się to możliwe, aby zabierał ze sobą na trasę lub do strefy kodeks karny.

Dlaczego o tym piszę, chociaż nie mnie w gruncie rzeczy sprawa ta dotyczy, nie mogę po latach ustalić dnia lotu ani dnia rozprawy, nie w moim dzienniku rzecz jasna jest zanotowana? Nie ja rozbiłem tę „jedenastkę”, nie ja bronilem się przed porywczym księdzem z Legionowa, nie przede mną wreszcie stanęła perspektywa trzech lat więzienia. Dlatego jednak muszę to napisać, że było czystym przypadkiem, iż w kabinie siedział Zaniewski i Gazicki. Mógł być to Smolik i ja, albo ja i Płoszański. Każdy z nas. Wtedy dopiero, po raz pierwszy chyba na serio, zdałem sobie sprawę z tego niewiarygodnego faktu, że życie moje jest cenne i cenna jest moja wolność. Zacząłem również wtedy podejrzewać, że będę miał kłopoty z tą moją wolnością, że zjawi się wcześniej czy później filozoficzny problem mojej wolności osobistej jako pilota, że zrozumieć będę musiał, iż przestrzeń, w której pracuję, z wolnością nie da się utożsamić, że będę otoczony pozorami.

Na długo ten proces pozostał we mnie jako pomoc w zmaganiach z pokusą małej wysokości.

To jest wersja oficjalna. Ale jak mi opowiadała Joanna Zaniewska-Ćwiklińska, córka jednego z tych pilotów, Stanisława Zaniewskiego, do wypadku mogłoby nie dojść, gdyby nie brawura i chęć pokazania się młodych pilotów przed swoimi narzeczonymi. Polecili najpierw nad Nasielsk, gdyż tam mieszkała dziewczyna pilota Bogdana Gazickiego. Po wykonaniu paru beczek i korkociągu wrócili do Legionowa, gdzie przy ulicy Kościelnej mieszkała dziewczyna (później żona) pilota Stanisława Zaniewskiego. Wszystko byłoby dobrze,

gdyby na drodze ich wychodzenia z korkociągu nie stała ta nieszczęsna sosna. Ale stało się, czegoż się nie robi z miłości i dla miłości.

Płk pilot Stanisław Zaniewski zmarł 15 sierpnia 2013 r. w Legionowie. Został pochowany na miejscowym cmentarzu z honorami wojskowymi.

W naszej szkole działała organizacja harcerska, jak pamiętam najpierw pod nazwą Związek Harcerstwa Polskiego, później przemianowana na Organizację Harcerską. Do dzisiaj bawi mnie jeden epizod z tej działalności. Kiedyś zwołane zostało zebranie Organizacji na korytarzu drewnianej szkoły. Przyszli przedstawiciele klas od IV do VII. Zebranie prowadził uczeń ze starszej klasy z pomocą nauczycielki – opiekunki harcerzy. Wielu uczniów zabierało głos, z tym że to wszystko było ustawione wcześniej, a ci, którzy zadawali pytania, każde słowo mieli wypisane na karteczkach i w odpowiedniej kolejności zabierali głos. W pewnym momencie jeden z uczniów zadał pytanie, które wprowadziło prowadzącego zebranie w zakłopotanie i niepewnie zwrócił się do opiekunki: „Przecież on miał nie mówić”. Rozbawiło to wszystkich obecnych, ale nie pamiętam, jak to się skończyło.

W czasie obchodów święta 1 Maja nasza szkoła też uczestniczyła w pochodach, a na czele szkoły maszerowałem ja, grając na fanfarze. Za mną podążało czterech werblistów – Heniek Drożdżewski, Janusz Nikiel, Kazik Gołaszewski i Waldek Ziemiński. Pochody takie organizowane w Legionowie maszerowały ulicą PZPR (obecnie Piłsudskiego), a trybuna główna stała przy rynku (obecnym parku), przed Domem Książki (tak nazywała się wtedy księgarnia) na ulicy PZPR 13.

Życie na Przystanku toczyło się swoim trybem. Nasze zabawy już nie były takie dziecinne. Któryś z chłopaków skombinował kulę i organizowaliśmy na ulicy czwórboj lekkoatletyczny. Było pchanie kuli lewą ręką, potem prawą, następnie między nogami i ostatni wyrzut dwiema rękami nad głową, stojąc tyłem. Na naszej polanie godzinami graliśmy w nogę, już normalną piłką. Tu zawsze mieliśmy dużo chętnych. Szerokość bramek oznaczaliśmy albo teczkami, albo naszymi ubraniami. Jednak wybuchały często awantury o to, czy bramka była strzelona, czy piłka nie przeleciała za wysoko nad bramkarzem.

Często nasze zacięte boje na boisku musieliśmy przerywać, bo w domu odbywało się „święto rodzinne”, czyli po prostu pranie. Tak to było ułożone, że najbliższe sąsiadki na takie pranie umawiały się jednego dnia, a do nas, czyli chłopaków, należało noszenie wody ze studni. W balii mieściło się naprawdę dużo wody.

Po praniu i wysuszeniu pościeli pozostawało jeszcze maglowanie. Właścicielem magła był pan Wasita z ulicy Kujawskiej 11. Maszyna do maglowania to taki wielki drewniany „potwór”. Jej długość wynosiła jakieś 6–7 metrów. Na drewniane wałki nakładano pościel i podkładano ją pod ogromny, też drewniany, korpus z obydwu jego stron. I tu się zaczynała praca. Kręcenie dużym kołem, umocowanym z boku maszyny, sprawiało, że przesuwano cały jej korpus, pod którym znajdowały się wałki. I tak z pięć lub sześć razy. Często chodziłem do magła z babcią, więc wiem, jak ciężka to była praca.

Jesienią za to czekała inna praca domowa. Szatkowanie kapusty i ubijanie jej w beczce. Taki szatkownik wypożyczano od właściciela i po kolei wędrował z domu do domu. Mnie zawsze przypadało ubijanie kapusty nogami w beczce. I tak do wiosny mieliśmy własną kiszoną kapustę. W każdym domu pod podłogą kuchni znajdowała się wykopana piwnica, w której przechowywano kartofle i inne warzywa na zimę. Po świeże mleko chodziliśmy często do pana Kacperskiego z ulicy Kujawskiej, który chował krowy. By dostać takie mleko z wieczornego udoju, trzeba było wcześniej złożyć zamówienie. Oprócz krów hodował też świnię i raz w miesiącu mogliśmy kupić świeże mięso. O tym cichym uboju wiedzieli chyba wszyscy, ale oficjalnie nikt nic nie wiedział. Takie to były czasy i ludzie bardziej solidarni.

Rok 1951 dla naszej ulicy i paru innych przyniósł wiele radości. Nareszcie i w naszych domach zaświeciło światło elektryczne, a mieszkańcy pomagali przy stawianiu słupów do przewodów elektrycznych. Zaczęło się inne życie, gdyż w roku 1952 Legionowo otrzymało prawa miejskie.

Bardzo lubiłem dni, w których Rodzice obchodzili imieniny, a szczególnie czerwcowe taty, Jana. Pomimo ciasnego mieszkania bawiło się 12–14 osób. Na tańce brakowało już miejsca, lecz między toastami goście śpiewali wiele piosenek, a z racji swoich ładnych głosów prym wiedli moi Rodzice (oboje śpiewali w chórze kościelnym

„na górcę”). Były to piosenki żołnierskie, takie jak „Rozszumiały się wierzby płaczące” czy „Ułani”, lub ludowe, które bardzo lubiłem, np. „Czerwony pas”, „Chodziłem po polu”, „Mały biały domek”. Robiło się radośnie i zabawa trwała do późnych godzin, a ja do dziś pamiętam wesołą wiązanekę tych utworów.

Kiedy myślę o tym teraz, rozumiem, że w tamtych powojennych latach lekkie, rytmiczne i „wpadające w ucho” piosenki dawały poczucie prawdziwej wolności, luzu i towarzyskiej jedności.

Towarzysko łączyła naszych ojców także gra w karty – w „beta” lub „oczko”. Do graczy należeli najczęściej Jan Drożdżewski, Jan Janiszewski, Stanisław Artaniak, Henryk Skuza i mój tata. W czasie tych spotkań zdarzały się jakieś nieporozumienia, które kończono polubownie. A gdy głowy były już gorące, nie tylko od emocji karcianych, zaczynały się dyskusje polityczne. W czasie tych zaciekłych dyskusji padła nawet propozycja, by mój tata, jako żołnierz AK i dowódca drużyny w tej formacji, zebrał znów ludzi, by zmienić to, co zostało narzucone naszemu krajowi na siłę. Jednak następnego dnia zapał stygł i wszyscy wracali do swoich zajęć, by utrzymać rodziny.

W czasie wakacji spotykało się mniej chłopaków, gdyż coraz częściej wyjeżdżali na kolonie letnie lub gdzieś do rodziny. Ja też od taty z zakładu pracy wyjeżdżałem na trzytygodniowe kolonie lub do rodziny na wieś.

Na swoje pierwsze kolonie wyjechałem w roku 1953 z Warszawskiego Przemysłowego Przedsiębiorstwa Budowlanego nr 2 do Mogielnicy koło Radomia. Zakwaterowali nas w budynku szkoły podstawowej. Co mi utkwіło w pamięci, to boisko sportowe obok szkoły i drewniane ubikacje poza budynkiem. Z tego powodu każdej nocy na korytarzu szkolnym wystawiano kubły do załatwiania swoich potrzeb.

Następne kolonie w Dobrym Mieście koło Olsztyna, na które pojechałem w roku 1955, i w Jedlinie Zdroju w 1956 (województwo dolnośląskie) były już bardziej cywilizowane, a warunki do odpoczynku i zabawy dużo lepsze od tych pierwszych. Na kolonii w Jedlinie Zdroju podczas górskich wycieczek zdobyłem Górską Odznakę Turystyczną w stopniu brązowym.

Lubiłem też jeździć na wieś do Rodziny – najczęściej do Klic, około 25 km za Ciechanowem. Działało tam Państwowe Gospodarstwo Rolne (PGR), gdzie większość pracowników mieszkała w tzw. czworakach. W każdym z czworaków osiem rodzin i każda miała do dyspozycji kuchnię i pokój. Kiedy pojechałem tam pierwszy raz, zszokowała mnie gliniana podłoga w kuchni. Przez częste jej zamiatanie środek zrobił się wklęsły, tak że pod meble kuchenne trzeba było podkładać jakieś drewna, by równo stały. Po paru latach zmieniono tę glinianą podłogę na podłogę z desek.

Lubiłem tam jeździć, gdyż to wiejskie życie miało swój urok. Raz w tygodniu ciocia piekła chleb, a i twaróg był swojej roboty. Pięknych przeżyć dostarczała jazda furmanką na snopkach zboża.

W szkole im wyższa klasa, tym więcej nauki. Uczyłem się nieźle, tak że nie bałem się w domu, gdy któryś z rodziców wracał po zebraniu szkolnym.

Opiszę jeszcze jedną naszą niezbyt mądrą szkolną zabawę. Otóż zaraz za terenem szkoły, gdzie znajdowały się bagna, w jednym miejscu była spora sadzawka, nawet niezbyt głęboka. Zimą, gdy woda zamarzała, wchodziliśmy na lód i w pięciu czy więcej chłopaków skakaliśmy po nim, aż stawał się coraz bardziej miękki i robił się taki jak guma, aż w końcu się zarywał. Zawsze trafiał się jakiś nieszczęśnik, który nie zdążył uciec i wpadał do lodowatej wody, a pozostali mieli z tego ubaw.

Latem w niedzielę, gdy dopisywała dobra pogoda, nasza Rodzina, jak i wiele innych, chodziła do lasu i nad Wisłę. Była to wyprawa, bo do wałów wiślanych szło się około 3 km. Na taką wycieczkę braliśmy jedzenie i kompot do picia. Nie brakowało też rozrywek dla starszych, gdyż do naszego brzegu Wisły dopływał statek wycieczkowy z Warszawy, a przed wałem na polanie, przy takim wielkim dębie, ułożono dechy z podestem na orkiestrę i do zmroku trwała zabawa taneczna. Wspólnie wycieczkowicze z Warszawy i nasi mieszkańcy. Nad Wisłę chodziliśmy ulicą Pomorską, potem w dół obok naszych „pływalni”, zwanych przez nas „Matraszkiem”. Później przez pola chotomowskie, obok krzyża przy drodze Chotomów-Jabłonna i dalej przez las, szosę Nowy Dwór Mazowiecki-Jabłonna i jeszcze 500 m leśnym duktem, i dochodziło się do wału wiślanego.

Żeby dorównać ówczesnej modzie, po wyrażeniu zgody przez Rodziców, zacząłem hodować gołębie. Najpierw miałem gołębnik w komórce, później wspólnie z Heńkiem Drożdżewskim przy pomocy mego taty na naszym podwórku zbudowaliśmy już prawdziwą budę, taką jak mieli inni. Materiał na jej budowę mieliśmy z bunkra, który stał jeszcze przy ulicy Lubelskiej. Były to dechy o grubości około 5 cm, tak że mieliśmy co dźwigać. Ciekawie robiło się wtedy, gdy kilkunastu hodowców jednocześnie wypuściło swoje gołębie, a na niebie pojawił się jastrząb. Biedne ptaki uciekały, gdzie mogły, a całe niebo usiane było wystraszonymi gołębiami. Na dole rozlegały się mocne uderzenia o drzwi lub blachy, by odstraszyć skrzydlatego napastnika. Nic to jednak nie dawało, a jastrząb po upolowaniu gołębia odlatywał.

Na naszej polanie coraz częściej myśleliśmy, by na boisku postawić normalne drewniane bramki, i tu z pomocą przyszedł nam mój tata. Jego znajomy, pan Stanisław Feliszek (późniejszy prezes Towarzystwa Przyjaciół Legionowa) był kierownikiem składu drewna, który znajdował się przy stacji Legionowo. Chodziliśmy tam przez tydzień i korowaliśmy ścięte bale. Za tę pracę dostaliśmy jako zapłatę sześć okorowanych balików. Z zapalem wzięliśmy się za wkopywanie ich, a potem poprzeczki – i spełniło się nasze marzenie. Mieliśmy boisko z prawdziwego zdarzenia. Po wspólnej naradzie naszą dziką drużynę piłkarską nazwaliśmy „Polana”. Zaczęły się mecze z innymi drużynami, takimi jak „Jutrzenka”, założona przez chłopaków z III Parceli, czy drużyna z ulicy Batorego. To już były poważne mecze i rywalizacja na całego. W miarę możliwości każdy z zawodników „Polany” załatwiał sobie białą koszulkę i wyglądaliśmy prawie jak prawdziwa drużyna.

Jeśli wspominałem o drużynie piłkarskiej z III Parceli, warto napisać parę słów o tej dzielnicy, jak my to mówiliśmy „zza toru”. Ulica Kolejowa i teren aż po wlot ulicy Złotej i Alei Róż był piaszczysty, a okoliczne dzieciaki miały latem naturalną piaskownicę oraz plac zabaw. Bywałem często w tej dzielnicy, bo chodziłem do mojego chrzestnego Jana Ptaszkowskiego, który mieszkał przy ulicy Nikłowej 11, obok której ciągnęła się parowa, a w niej pływały karaski, pijawki i żaby. Latem można było brodzić po wodzie, a zimą jeździć na łyżwach. Dom wujka był duży, drewniany, zbudowany około roku 1930.

Jako lokatorzy mieszkała w nim rodzina mojego kolegi z klasy, Andrzeja Adameczyka.

Bywałem też na ulicy Złotej 5, gdzie mieszkała moja ciocia Wacia z mężem Tośkiem i córkami Krystyną i Ireną. Był to dom drewniany, zbudowany przed II wojną światową, do dziś zamieszkanym i bardzo dobrze utrzymany. U zbiegu ulicy Targowej i Alei Róż znajduje się duży murowany budynek mieszkalny, wybudowany na początku lat 30. XX wieku przez Aleksandra Szulca. Jeśli chodzi o sklepy, to pamiętam sklep spożywczy Pana Partyki przy ulicy Złotej 1. W sklepie tym, jak i w wielu innych, mieszkańcy kupowali towary na tzw. zeszyt, a opłatę uiszczali po jakimś czasie, pomimo że w każdym sklepie prywatnym była wywieszka z napisem: Zapamiętaj cztery słówka JUTRO KREDYT, DZIŚ GOTÓWKA. Z innych sklepów na III Parceli pamiętam sklep mięsny pani Rakowskiej przy ulicy Narutowicza 4 i obok sklep nabiałowy, czy cukierniczy przy ulicy Targowej 88 prowadzony przez pana Krzemińskiego.

Jeśli chodzi o kolegów, to często chodziłem do Zenka Wiśniewskiego, który mieszkał przy Alei Róż 20. Tam też organizowaliśmy wspólne zabawy lub graliśmy w piłkę, bo tak jak i na Przystanku było tu wiele wolnych placów. Moje wyprawy do kolegi za torami nie zawsze kończyły się dla mnie przyjemnie, gdyż nieraz, zapominając o upływającym czasie, zbyt późno wracałem do domu, a tam czekała już na mnie, powiem delikatnie, solidna bura.

Spośród chłopaków z tamtych lat pamiętam Heńka Burzę, Wacka Lisieckiego, Heńka Świderskiego, Staśka Smolińskiego, Roberta Kierskiego, Kazika Wicińskiego, Jurka Łopatę czy Sylwka Smalika.

Na ulicy Mazowieckiej obok naszego boiska znajdował się prywatny sklep spożywczy Antoniny i Jana Konradów. Państwo Ci hodowali też kozy, z którymi mieliśmy mały kłopot, bo palowane były na naszym boisku i musieliśmy je przepalowywać trochę dalej. Z tego powodu powstawały zatargi z właścicielami, ale jakoś dochodziliśmy do porozumienia, a kozy, ich właściciele i my byliśmy zadowoleni z takiego polubownego załatwienia sporu.

Nadszedł czas rozstania ze szkołą podstawową, koniec pierwszego siedmioletniego etapu edukacji. Radość mąciła się ze smutkiem,

że musimy pożegnać nasze koleżanki i kolegów, naszych wspaniałych nauczycieli, a czas beztroskiego dzieciństwa minął bezpowrotnie. Jednak sentyment do starej kochanej BUDY został we mnie do dziś. Dumny jestem, że teraz przedstawiany jestem już w nowym pięknym budynku szkolnym jako Przyjaciel Szkoły.

Z tamtych szkolnych lat zapamiętałem wiele nazwisk ze swojej klasy i szkoły: Janka Tkaczyk, Hania Zadrozna, Hania Makarawicz, siostry Piłśnikówny, Bożena Anioł, Krystyna Rezbik, Mirka Balińska, Ela Świdarska, Iwona Wiśniewska, Bogda Furmańska, Ela Dankowska, Danusia Kuchcińska, Irena Tomaszewska, Jadzia Jaworska, Janusz Nikiel, Rysiek Kucharski, Szczepan Błaszak, Zbyszek Gugąła, Marian Generowicz, Waldek Ziemiński, Olek Szafrąński, Krzysiek Opas, Heniek Burza, no i oczywiście Heniek Drożdżewski i Józiek Artaniak. Niestety z większością z nich od wielu, wielu lat nie mam kontaktu.

Nasze życie koncentrowało się teraz na naszej polanie, na boisku. Gdy nie było pogody, zaczęliśmy uczyć się gry w brydża i powoli szło nam coraz lepiej. Najczęściej odbywało się to w domu Józka Artaniaka, który wyrastał na lidera w tej grze.

W roku 1959 lub 1960 moi Rodzice kupili telewizor. Co to była za radość dla nas i okolicznych sąsiadów! Był to pierwszy telewizor na naszej ulicy i wieczorami do naszego skromnego mieszkania przychodziło z 10–15 osób, najczęściej – by oglądać teatr kryminalny „Kobra”. Nadawali jeden program przez określoną ilość godzin. Co do jakości odbioru, był kiepski, przerywany często napisem: „Przepraszamy za usterki”, ale kto by zwracał na to uwagę – mieliśmy obraz. Nasza „Wisła”, bo tak nazywał się ten telewizor produkcji polskiej, służył nam jeszcze wiele lat.

Powoli zaczęło ubywać chłopaków z naszej paczki. Jurek Zadarowski wyprowadził się z rodziną gdzieś w Polskę, Jurek i Janusz Szałkowski zamieszkali w Warszawie, tak samo jak rodzina Janusza Gierymskiego. Nasza dzika drużyna „Polana” rozpadła się. Chociaż prawdę mówiąc nie do końca, bo w roku 1958 mój tata został wybrany na Prezesa Klubu Sportowego „Legionovia” i pociągnął nas za sobą.

Na treningi w „Legionovii” zaczęło uczyć sześciu lub siedmiu zawodników, jednak szybko rezygnowali. Zostałem tylko ja i Waldek Ziemiński. Waldek dobrze się zapowiadał jako piłkarz i obaj graliśmy w drużynie juniorów Klubu. Szkoda, że po dwóch latach zrezygnował z gry w piłkę i zostałem sam jeden z naszej „Polany”. Ja na tyle związałem się z Klubem, że nawet po zakończeniu kariery piłkarskiej w roku 1975 zostałem w nim jako działacz sportowy. Opisałem to w mojej publikacji „80 lat Legionovii”, wydanej przez Muzeum Historyczne w Legionowie w roku 2010.

Do szkoły średniej jeździłem do Warszawy pociągiem. Co to były za wagony! Drzwi otwierane do każdego przedziału, a drewniany stopień ciągnął się przez cały wagon. Letnią porą stopnie te oblegała młodzież, bo był to najprzyjemniejszy sposób podróżowania, pomimo że konduktorzy gonili za taką jazdą. W okresie wakacyjnym na nasze linie podmiejskie kierowano, jak to mówiliśmy, wagony „bydłce”, gdzie jeden wagon stanowił jeden duży przedział, w którym przy ścianach znajdowały się drewniane ławki. Wielkie i ciężkie rozsuwane drzwi po obu stronach wagonu musiały być cały czas otwarte, by zapewnić dopływ światła i świeżego powietrza. Żeby stanąć na stopniach wagonu, trzeba było dosyć wysoko podnieść nogę, bo perony umieszczono bardzo nisko. Aby dostać się na peron od strony Przystanku, wchodziło się po trzech schodkach. Po prawej od schodków znajdował się mały budynek stacji. Ten sam, który wybudowano jeszcze przed drugą wojną światową. W środku mieściły się poczekalnia, kasa biletowa i maleńkie pomieszczenie gospodarcze.

W poczekalni mieścił się też kiosk z prasą codzienną i drobnymi artykułami kosmetycznymi, który prowadzili państwo Popielarscy do roku 1969. Drewnianą podłogę co parę miesięcy smarowano jakimś czarnym mazidłem, które niezbyt ładnie pachniało. W tym też roku 1969 kiosk objęła Jadwiga Zaniewska, ale już nie w budynku stacji, ale w pawilonie „Ruchu”, który postawiono tuż obok stacji. Za kioskiem znajdowała się pompa wodna z długim, na końcu zawiniętym ramieniem do pompowania wody i zaraz obok cieszył oczy nawet dobrze utrzymany klombik z kwiatami i trawą. Warto jeszcze wspomnieć o kiosku z napojami i słodyczami, który prowadziła z konieczności była właścicielka piekarni przy Kościuszki 106, gdy nowa władza

w roku 1950 odebrała i upaństwowiła piekarnię. Kiosk ten stał przy wlocie do ulicy Gdańskiej.

Początek lat 70. XX w. to oczekiwanie na zakończenie elektryfikacji linii kolejowej Warszawa Gdańska–Nasielsk. 29 grudnia 1972 roku ziściły się nasze marzenia, trasą zaczęły jeździć pociągi elektryczne. Zwiększył się komfort jazdy i, co bardzo ważne, czas przejazdu do Warszawy skrócił się o 15 minut. Troszkę dalej w stronę Chotomowa wybudowany został wysoki peron przystosowany do wagonów kolei elektrycznej. Na peronie postawiono blaszany pawilon z małą poczekalnią i kasą biletową, co „dumnie” można było nazwać stacją Legionowo-Przystanek. Latem ciężko się tam wchodziło, bo pawilon oszklili w połowie i robiło się w nim bardzo gorąco, a zimową porą dwa małe grzejniki nie były w stanie ogrzać pomieszczenia, i jeszcze te drzwi wejściowe nie zawsze się domykały.

Stara przedwojenna stacja nie przetrwała – w roku 1973 została rozebrana. Trzeba było się rozstać z tym naszym zabytkiem. Z prowadzenia kiosku „Ruchu” zrezygnowała też Jadzia Zaniewska, która jako mieszkanka Przystanku ze smutkiem patrzyła, jak następowała rozbiórka tego budynku.

I tu w zasadzie kończy się opis mego dzieciństwa i warunków życia mieszkańców Przystanku z ich kłopotami i uciechami. Radość mieszkańcom przynosiły zabawy sylwestrowe i karnawałowe w szkołach podstawowych, gdzie w sali gimnastycznej znajdował się parkiet do tańca, a w salach lekcyjnych ustawiano stoły z poczęstunkiem. Latem chodziło się na tzw. dechy (gdzie grał zespół muzyczny), które znajdowały się na III parceli przy ulicy Targowej (obecnie na terenie Powiatowego Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych), na terenie Straży Pożarnej przy ulicy Batorego i przy Sowińskiego (gdzie stał pawilon „Anat”, a obecnie jest blok SMLW). Te ostatnie organizowali działacze i piłkarze klubu „Legionovia”. Kwitło też życie towarzyskie, a młodzież organizowała sobie prywatki.

Może jeszcze w przyszłości opiszę też swoje lata młodzieńcze?

Powoli, powoli zmieniał się cały Przystanek. Na ulicach zapaliły się latarnie. Na początek tylko na co drugim słupie elektrycznym – ale były. Przy rondzie powstał pawilon handlowy PSS „Społem”

z lokalem gastronomicznym, restauracją z dansingiem „Oaza”. Obok dawnej Szkoły nr 2 wybudowano nowy budynek szkolny.

Ale i tak Przystanek i III parcela były jakby zaniedbywane przez władze naszego miasta. Dopiero w ciągu ostatnich 15–20 lat naprawdę coś się ruszyło. Przeprowadzona została gazyfikacja na naszym terenie i powoli można było się żegnać z paleniem w piecach koksem czy węglem. W następnych latach rozpoczęła się budowa sieci kanalizacyjnej i wodociągowej. Na ulicach zaczęto kłaść asfalt, albo chociaż chodniki z kostki. Wypiękniał nasz stadion, który z trybunami i tartanową bieżnią wygląda dziś okazale, a nowa hala sportowa przyciąga wielu kibiców na zawody sportowe. Przybywało też nowych mieszkańców, którzy wybudowali bardzo ładne domy z pięknie utrzymanymi podwórkami. Nasz Przystanek, zielony Przystanek, staje się też kolorowy.

Gdy chodzę teraz ulicami naszej dzielnicy, z dumą i radością obserwuję JEJ rozwój i wierzę, że będzie jeszcze lepiej, a każdy mieszkaniec, czy mieszka tu 5, 10 czy 50 lat, będzie mógł powiedzieć – to jest **MÓJ PRYZSTANEK**.



W tym małym domku przy ulicy Lubelskiej 9, zbudowanym przez mego dziadka Józefa Maluchnika pod koniec lat 20. XX wieku, urodziłem się i spędziłem lata dzieciństwa, mieszkałem do 25. roku życia, kiedy to wyprowadziłem się wraz z Rodziną do nowego domu przy ulicy Poznańskiej.



Dom naszego sąsiada Jana Janiszewskiego, w którym była ukryta broń i skąd ruszyła drużyna mego taty kpr. Jana Szulca ps. „Dukat” do walki w czasie Powstania Warszawskiego w Legionowie. 1 sierpnia 1944 r.



Dom mieszkalny Antoniny i Stanisława Jaroszów zbudowany w roku 1935. Wcześniej obok w roku 1929 powstała piekarnia. Na parterze po prawej stronie był opisywany sklep p. Komorowskiego.



Drewniany budynek przy ulicy Piastowskiej (obecnie ocieplony) zbudowany przez Mariannę Goszkowską w roku 1938. Na uwagę zasługuje ciekawa architektura dachu pokrytego blachą. W roku 1977 dom kupili Apolonia i Ryszard Ciepiewscy.



Przedszkole nr 2 przy ulicy Jagiellońskiej 40. Od lewej Tadeusz Szulc, Jurek Woźniak, Tadeusz Kuzka. Rok 1950.



Grupa przedszkolaków przed budynkiem, na którym widać ślady od kul. Rok 1952.



Zabawa dzieci na placu przedszkolnym. Rok 1952.

Dzierżawa domu Nr.90
przy ul. Jagiellońskiej
własność Kucaciński Bolesław.

Urząd Opłat Stemplowych

W. 1947

1. 23.11

U m. p. w. a .

15/8 142

Między zarządem Gminy Legionowo oraz Os. Kucaciński Bolesławem
właścicielem domu mieszkalnego w Legionowie przy ul. Jagiellońskiej
Nr.90 została zawarta w dniu 23.11.1947 r. następującej:

1. Zarząd Gminy Legionowo wyraża zgodę na umowę użycia nieruchomości mieszczącej się na dwóch dolnych kondygnacjach /partey i pierwsze piętro / budynku mieszkalnego, murewanego dwupiętrowego położonego w Legionowie przy ul. Jagiellońskiej Nr.90 .
2. Pozostałe w tym domu wszystkie lokale mieszczące się na drugiej piętrze pozostają do wyłącznej dyspozycji właściciela domu .
3. Dzierżawione lokale będą używane dla potrzeb urzędzenia klas szkolnych publicznej szkoły powszechnej Nr.2 w Legionowie .
4. W celu przystosowania dzierżawionego lokalu do potrzeb szkolnych Zarząd Gminy Legionowo usunie ściany wewnętrzne w celu połączenia klas szkolnych , jak również usunie ściany na drugiej piętrze , zaś dół pozostaje parterze . Ponadto Zarząd Gminy Legionowo przeprowadzi prace remontowe i sarentuje lokale oraz uzupełni wraki w zakresie prac remontowych . Zarząd Gminy Legionowo przeprowadzi też niezbędne prace remontowe uszkodzonego dachu .
5. Zarząd Gminy Legionowo zobowiązuje się wstawić z powrotem wyjęte trzy ściany /p.4/i przywrócić stan poprzedni zgodnie z planem budowy domu na koszt własny włącznie wypłacić właścicielowi domu równowartość , co nastąpi po wygasnięciu niniejszej umowy .
6. Dzierżawa trwa od dnia 1.10.1947 r. licząc od dnia rozpoczęcia remontu t.j. od dnia 1.10.1947 r. Zarząd Gminy Legionowo zastrzega sobie prawo przedłużenia niniejszej umowy na dalszy okres czasu .
7. Koszt przeprowadzonego remontu który będzie wynosił 38.000 zł. /trzydzieści osiem tysięcy zł. / od lokali dzierżawionych ponosi wyłącznie Zarząd Gminy Legionowo .
8. Czynsz dzierżawny wynosić będzie zł.3.500 .-/trzy tysiące pięsetek / za cały trzyletni okres dzierżawy płatny jednorazowo z góry w dniu

- podpisania umowy .
9. Wszystkie podatki od tego domu pałecie i bieżące za wyjątkiem podatku bieżącego lokalewego od awosa wykonywanych przez szkołę konadygnacji t.j. na parterze i na pierwszym piętrze będzie opłacać właściciel domu
 10. Opłaty stempłowe poniesie wyłącznie Zarząd Gminy Legionowa .

Legionowo, dn. 29 maja 1917.

*Władysław
Hallecki
Wiałkowicki*



Władysław Hallecki

10375 27
Władysław Hallecki



Władysław Hallecki

Umowa o wdzierżawienie prywatnego budynku na potrzeby Szkoły nr 2 przy ulicy Jagiel-
 łośkiej.



Parter i I piętro domu wdzierżawionego od Bolesława Kuchcińskiego na potrzeby szkoły przy ulicy Jagiellońskiej 74 (dawniej 90). Potocznie nazywaliśmy ten budynek „biała szkoła”. Rok 1947.



Klasa V w sali budynku „białej szkoły”. Pierwszy rząd od lewej: Andrzej Oset, Kaczmarek, Andrzej Adamczyk, Ela Świdzka, drugi rząd od lewej: Tadeusz Szulc, Krzysiek Burakowski, siostry Pilśniakówny, trzeci rząd od lewej: Danusia Kuchcińska, Stefan Salkiewicz, Rysiek Kucharski. Zdjęcie z roku 1954.



Grupa dzieci przed drewnianym budynkiem Szkoły nr 2. Lekcję gimnastyki prowadzi pani Stefania Dulińska.



Koniec roku szkolnego 1955/56. Czesio Piątkowski deklamuje wierszyk, stojąc na krześku. Przy stoliku kierownik Saturnin Duliński i Maria Burska, z prawej przy dzieciach nauczycielka pani Ostrowska.



Widok na ulicę Krakowską sprzed domu przy ulicy Jagiellońskiej 88. Ta biała kreska z lewej to piaszczysta ulica Jagiellońska, wyżej wydma (później był tam sklep „Społem” oraz restauracja „Oaza”), za wydumą dom Barbary Ostaszewskiej, z prawej w głębi dom pp. Brodlów. Zdjęcie z roku 1952.



Teren pomiędzy ulicą Jagiellońską i Krakowską. Po prawej stronie piękne wydmy, a za nimi domy pp. Brodlów i pani Jesionowskiej, u góry z lewej dom pp. Flipkowskich przy ulicy Krakowskiej. Zdjęcie z roku 1952.



Ten sam teren, który widać także na zdjęciu poprzednim, widok od ulicy Krakowskiej. Po prawej u góry dom pp. Kuchcińskich, gdzie była nasza „biała szkoła”. Na dole parowa, w miejscu gdzie obecnie zbudowany jest tunel do przejazdu pod rondem na Przystanku i torami kolejowymi. Na zdjęciu rodzina pana Zarzyckiego (drugi z prawej). Zdjęcie z roku 1953.



W porze zimowej cały ten teren był pod lodem i tworzyło się naturalne lodowisko, które dla nas i starszych stawało się miejscem zabaw oraz jazdy na łyżwach i sankach Zdjęcie z roku 1949 z widokiem na ulicę Krakowską od ulicy Jagiellońskiej.



Moda z początku lat 50. XX wieku. Z lewej u góry Tadeusz Szulc w krótkich spodenkach i szelkach zapinanych na krzyż, obok niego młodszy brat Jurek. Na prawym zdjęciu typowy w tym czasie wózek dla dziecka, w którym do chrztu jechał najmłodszy brat Mirek. U dołu z lewej Tadeusz i widok na ulicę Lubelską, z prawej trzech bracia: od lewej Marek, Jurek i Tadeusz. Szerokie spodnie i pulawerki to typowy ubiór chłopaków w naszym wieku.



Nasza „paczka” z ulic Lubelskiej i Mazowieckiej, u góry od lewej: Jurek Szałkowski, Marek Szulc, Wiesiek Szafranski, Janusz Gierymski, Jurek Zadarnowski (w modnej wtedy wełnianej mycce na głowie), Hania Sokołowska, niżej od lewej: Józek Artaniak, pochylony Tadeusz Szulc, przed nim Zygmunt Artaniak i Danusia Sokołowska z pieskiem. Rok 1953.



Widok na ulicę Mazowiecką, po lewej stronie dom pp. Dietrichów, a na zdjęciu od lewej Danusia Sokołowska oraz bracia Jerzyk i Jacek Majewscy. Rok 1954.

**ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁOWE
BUDOWY NOWEJ HUTY**

PAŃSTWOWE PRZEDSIĘBIORSTWO WYODREBNIONE

KRAKÓW - NOWA HUTA

Urząd Pocztowy Kraków Nr 32

Centrala Telefon. 235-60/71

Konto w Banku Inwestycyjnym o/Nowa Huta 1100/1

Adres telegraficzny: Budohut.

Kraków-Nowa Huta, dnia 14 sierpnia 1952 r.

Ob.
S z u l c Jan
Zarząd 6 /Stalownia/

Wzrost znak:

Nazwa znak SO-1/...../52r.

SprawaZatrudnienie.-

Z dniem 11 sierpnia 1952r. pozostaje Obywatel w stosunku służbowym ze Zjednoczeniem Przemysłowym Budowy Nowej Huty w charakterze St.Majstra Budowlanego w Zarządzie 6V/Stalownia/.

Równocześnie przyznajemy Obywatelowi uposażenie na czas pracy w n/Zjednoczeniu w wysokości zł.724,50.-, ded.funkcyjny zł.189.-, z prawem do premii o współczynniku 1,0 miesięcznie, odp.3-ej grupie Tabeli Prac Pracowników Umysłowych f.-

RADA ZAKŁADOWA

Rada Zakładowa

przy

Dyr. Zjednoczenia Przem. Budowy

Nowej Huty

Otrzymuje:

Z/6

WPZE Nr.2

AZP

Z.P.R.N.H. Rej. Nr 133 20.000 VII. 52

Kierownik
KIER. DZIAŁU PRHS

K. Kwiatkowski

DYREKTOR NACZELNY

NACZELNY WZNIKIER

Inż. Balcer N.

Krak. Zakł. Graf. 4, Świątek 7 - 533 80 7 6^o piśm VII 40 g A1 - 20.000



Mój tata Jan Szulc (stoi) na jednej z budów w Nowej Hucie, w czasie gdy był tam oddelegowany z warszawskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego nr 2 jako kierownik jednego z odcinków. Rok 1952.



Drewniany dom przy ulicy Wileńskiej z lat 30. XX wieku, w którym mieszkał p. Nowak. Ten starszy, sympatyczny pan był najczęściej widziany przez nas ubrany w spodnie bryczesy, buty oficerki i bluzę wojskową, ale wtedy nie interesowały nas jego wojskowe dzieje, a szkoda.



Dom wybudowany przez Jana Koperkiewicza w roku 1930, na działce zakupionej we wrześniu 1929 roku od Stanisława Rogowskiego, działającego w imieniu i na rzecz obywatela Rzeczypospolitej Polskiej Maurycego hr. Potockiego w kancelarii Karola Hettlingera, notariusza przy Wydziałach Hipotecznych Sądu Okręgowego w Warszawie.



Ciekawa architektura domu przy ulicy Jagiellońskiej 82, zbudowanego w roku 1928, którego właścicielem był p. Kaszycki. Budowniczym tego domu, jak i domu pp. Kuchcińskich przy Jagiellońskiej 90, był Aleksander Szulc, dzisiaj byłby nazywany deweloperem.



Willa „Łukasiewiczówka” przy ulicy Kościuszki z lat 30. XX wieku, której właścicielami byli Julia i Wacław Łukasiewicz.



Rodzina Lucyny i Zdzisława Sarnowskich na tle swego domu przy ulicy Jagiellońskiej 66. Zdjęcie z roku 1950.



Po prawej stronie posesji pp. Sarnowskich była nasza górka, gdzie zimową porą spędzaliśmy każdą wolną chwilę. W głębi za górką dom pp. Błaszaków przy ulicy Batorego.



Łyżwy z lat 50. XX wieku. Te na zdjęciu były przykręcane do butów z przodu i z tyłu, inny typ to przykręcane z przodu, a z tyłu wkładane w obcas, w tzw. płatki.



Dom przy ulicy Gnieźnieńskiej, w którym nas „straszyło”.



Takimi rowerami jeździliśmy w latach 50. XX wieku. Na zdjęciu Tadeusz z modną wtedy myką na głowie i młodszy brat Jurek.



Sosna przy ulicy Batorego, która była bezpośrednią przyczyną upadku samolotu. Rosła, chociaż bez korony, jeszcze przez dziesięciolecia, aż przyszła zima i śnieg w roku 2013 i znów została okaleczona, grube konary nie wytrzymały naporu śniegu i się połamały.



Pochód 1-majowy w Legionowie w roku 1950. Przemarsz jednej ze szkół ulicą PZPR (dzisiaj Piłsudskiego), w głębi stacja Trafo.



W pochodzie 1-majowym maszeruje Szkoła Podstawowa nr 2. Na pierwszym planie z fanfara Tadeusz Szulc, z tyłu na werblach grają od lewej Janusz Nikiel, Waldek Ziemiński, Heniek Drożdżewski, Kazik Gołaszewski. Zdjęcie z roku 1955.



Ulica Stefana Batorego i dochodzące ulice Henryka Siemiradzkiego i Stefana Żeromskiego tworzą rondo zwane potocznie „okrągłakiem”. Po wojnie przez mieszkańców Legionowa został wzniesiony brzoźowy Krzyż, poświęcony ofiarom II wojny światowej. Na nim był zawieszony Krzyż Orderu Virtuti Militari. Na zdjęciu z roku 1951 Waldemar Pawłowski. Krzyż ten zlikwidowały pod koniec lat 60. XX wieku przez ówczesne władze miasta i teren został zaniedbany. Dopiero w latach 80. XX wieku z inicjatywy przewodniczącego środowiska żołnierzy Armii Krajowej kpt. Edwarda Dietricha powołano Społeczny Komitet Budowy Pomnika, upamiętniającego Powstanie Warszawskie w Legionowie. Funkcję przewodniczącego Komitetu pełnił były żołnierz AK Jan Szulc. Jednak wiele przeszkód natury politycznej i administracyjnej nie pozwoliło na zrealizowanie tej idei. Dopiero w roku 1991 w nowych warunkach społeczno-politycznych reaktywowano Komitet Społeczny, który doprowadził do realizacji pomnika. Funkcję Przewodniczącego Komitetu pełnił Lucjan Spletsteser. Uchwałą Rady Miejskiej w Legionowie z 2.02.1994 plac u zbiegu ulic Batorego, Żeromskiego i Siemiradzkiego otrzymał nazwę „Rondo Armii Krajowej”.



Wycieczka do Ogrodu Zoologicznego w Warszawie. Od prawej Marek, Jurek i Tadeusz Szulc. Zdjęcie z roku 1953. W głębi po prawej stronie kominy Elektrociepłowni Żerań oddanej do eksploatacji w roku 1954.



Dom Marianny i Stanisława Kacperskich przy ulicy Kujawskiej z początku lat 30. XX wieku. Za stogiem słomy (po lewej) były komórki, gdzie hodowano trzodę chlewną. Zdjęcie z roku 1954.



Dzika drużyna POLANA z Przystanku. Stoją od lewej: Marek Szulc, Bogdan Sobikowski, Jurek Szałkowski, Wiesiek Szafranski, Józiek Artaniak, Tadeusz Szulc, siedzą od lewej: Janusz Gieryski, Maciej Bziuk, Waldek Plichta, Jurek Grabicki. Zdjęcie z roku 1955.



Pamiętkowe zdjęcie z ukończenia Szkoły Podstawowej nr 2 z roku 1956. W pierwszym rzędzie od prawej siedzą: Janusz Nikiel, Zbyszek Gugala, Rysiek Kucharski, Tadeusz Szulc, Marian Generowicz, Ela Świdorska, Danusia Tkaczyk, Krysia Rezbik i Bogda Furmańska. W środku kierownik szkoły Saturnin Duliński i obok po prawej stronie wychowawczyni Stanisława Generowicz.



Dom przy ulicy Mazowieckiej 1, w którym mieszkała Barbara Ostaszewska, lekarz neurolog. Według tych, którzy ją znali była elegancką i bardzo czynną kobietą, pomagającą bezinteresownie, jako lekarz, wielu mieszkańcom. Obecnie budynek przejęli spadkobiercy i ten nasz drewniany przystankowy zabytek starają się utrzymać w takim stanie, w jakim został zbudowany w roku 1928. I oby się udało.



Dom przy ulicy Mazowieckiej zbudowany w roku 1934 przez pp. Markiewiczów. Ich spadkobiercy pp. Dietrichowie w roku 1984 sprzedali dom i 3/4 działki Annie i Aleksandrowi Strasburgerom. Nowi właściciele zbudowali budynek gospodarczy z wielospadowym blaszanym dachem, nawiązujący do kształtu budynku mieszkalnego. Gruntownie też zmienili zagospodarowanie ogrodu.



W tym małym domku przy ulicy Poznańskiej, zbudowanym w roku 1934 przez Zofię i Jana Markiewiczów, mieszkał spadkobierca, ich syn Lech. Znałem Go jako miłego sąsiada, uczynnego i kulturalnego człowieka, dbającego o estetykę domu i ogrodu. Latem 2012 roku mieliśmy porozmawiać o czasach przedwojennych i wojennych, które pamiętał dobrze, by wzbogacić materiał o Przystanku do mojej książki. MIELIŚMY... Zmarł 15 marca 2012 roku. Dopiero po Jego śmierci dowiedziałem się o dorobku naukowym i publicystycznym oraz odznaczeniach państwowych. Do końca był skromnym człowiekiem. Prof. zw. dr hab. med. Lech Markiewicz ukończył Akademię Medyczną w Warszawie Wydział Lekarski w roku 1955. W swoim dorobku naukowym ma 120 publikacji oryginalnych, odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski.

PRYZYSTANEK DZIŚ

Początek XXI wieku – to już inna dzielnica, inny Przystanek. Przybyło wielu nowych mieszkańców, budujących nowe domy o ciekawej architekturze. Posesje przy domach też wypiękniały, pomiędzy zieloną trawą wznoszą się iglaki, które przyjmują różne kształty i formy. Ulice są w większości utwardzone i oświetlone, a kanalizacja i wodociągi obejmują już ponad 90% gospodarstw domowych. Rozbudowana Szkoła nr 2 wraz z przedszkolem tworzą kompleks budynków Zespołu Szkolno-Przedszkolnego wraz z boiskiem do gry w piłkę nożną i placem zabaw dla dzieci. Ulicą Krakowską, poprzez tunel pod torami kolejowymi, będzie można dojeżdżać w Aleję Róż na III parcelę.

Wszystko to jest ładne i budujące, ale... te blachy, które nazywają się ekranami akustycznymi, ciągnące się wzdłuż torów kolejowych przez nasze miasto, nie napawają radością i akceptacją mieszkańców. Przystanek został odcięty od III parceli, a III parcela od miasta. Ta centralna inwestycja nie wszystkim mieszkańcom się podoba. Dbajmy o nasze szczęście i Przystanek, a wszyscy mieszkańcy piszą dalszą JEGO HISTORIĘ.





Dom zbudowany w latach 30. XX wieku przy ulicy Poznańskiej 3, którego właścicielem był Honorat Grabowski. Zdjęcie z roku 1993. Poniżej ten sam adres, ale już nowy właściciel, i nowy dom. Zdjęcie z roku 2014.





Dom Pomocy Społecznej „Kombatant” przy ul. Jagiellońskiej, oddany do użytku w roku 2001.



Nowe przedszkole w Zespole Szkolno-Przedszkolnym przy ul. Jagiellońskiej 67. Oddane do użytku razem z nową dobudowaną częścią budynku szkoły w 2011 r.



Hala Widowiskowo-Sportowa przy zbiegu ulic B. Chrobrego i Sobieskiego otwarta we wrześniu 2010 r. Trybuny obiektu mogą pomieścić ok. 2000 widzów.



Dom przy ulicy Kujawskiej.



Budynek przy ulicy Wileńskiej.



Budynek przy ulicy Kościuszki.



Budynki przy ulicy Kościuszki.



Budynki przy ulicy Barskiej.



Nowe budynki przy ulicy Gnieźnieńskiej, pomiędzy ulicami Wileńską i Mazowiecką, gdzie w latach 50. XX wieku było nasze boisko piłkarskie.



Dom przy ulicy Pomorskiej.



Kompleksy budynków jednorodzinnych przy ulicy Kościuszki i Warmińskiej.



Budynki przy ulicy Gnieźnińskiej (u góry) i Mazowieckiej.



Budynek przy ulicy Poznańskiej (u góry) oraz osiedle domów jednorodzinnych przy ulicy Gnieźnieńskiej.

Władze miasta Legionowo

Anno Domini 2014

Prezydent Roman Smogorzewski

Zastępcy: Piotr Zadrozny, Lucjan Chrzanowski

Skarbnik: Jolanta Ćwiklińska

Sekretarz: Danuta Szczepanik

Przewodniczący Rady Miasta Janusz Klejment

Zastępcy: Mirosław Pachulski, Ryszard Brański

Rada Miasta:

Marta Bogucka-Frańczak

Agnieszka Borkowska

Józef Dziedzic

Paweł Głazewski

Monika Jeziak

Zdzisław Koryś

Bogdan Kiełbasiński

Paweł Lewandowski

Małgorzata Luzak

Anna Łaniewska

Konrad Michalski

Andrzej Piętka

Kazimierz Płaciszewski

Marcin Smogorzewski

Leszek Smuniewski

Tadeusz Szulc

Piotr Topczewski

Jacek Zawada

Agata Zaklika

Artur Żuchowski

POSTSCRIPTUM

Pisząc tę książkę, chciałem ocalić od zapomnienia czasy, gdy powstawało Nasze Miasto i rozwijała się Nasza Dzielnica, czasy, kiedy trzeba było walczyć z niemieckim okupantem podczas II wojny światowej, powojenne czasy mojego dzieciństwa, chłopaka urodzonego i wychowanego na Przystanku. Gdy się urodziłem, byłem bardzo słaby i obawiano się o moje życie, więc moja ciocia Zosia ochrzciła mnie, jak wtedy mówiono, „z wody” i dopiero za parę miesięcy, już w kościele parafii św. Jana Kantego w Legionowie, zostałem ochrzczony po raz drugi.

Zbierając informacje o życiu mieszkańców Przystanku od moich sąsiadów i znajomych, starałem się wiernie oddać klimat tamtych lat. Nie wiem, czy mi się udało, ale ocenicie to Wy Drodzy Czytelnicy i proszę o trochę wyrozumiałości, bo przecież nie jestem historykiem czy literatem, po prostu jestem jednym z Was – mieszkańcem Przystanku.

Dziękuję dyrektorowi Muzeum Historycznego w Legionowie Panu dr. hab. Jackowi Szczepańskiemu za pomoc w opisie części historycznej naszego miasta, dziękuję Pani Katarzynie Ziułkowskiej-Karnickiej, pracownikowi Muzeum za prace redakcyjne. Podziękowania składam dla mojej wnuczki Sary Szulc za cierpliwość przy przepisywaniu mojego rękopisu.

Historia miasta jest JEGO ŻYCIEM.

Z poważaniem

Tadeusz Szulc



Vars. 12703

MUZEUM HISTORYCZNE w Legionowie

zaprasza do odwiedzenia

Wystawa stała:

*W krainach lodu i księżek - rzecz
o Alinie i Czesławie Centkiewiczach*

Willa Muzeum
ul. Mickiewicza 23
05-120 Legionowo



Wystawa stała:

*Dzieje garnizonu w Legionowie
1892-2012 – wybór
najciekawszych pamiątek*

Filia „Piaski”
Al. Sybiraków 23
05-119 Legionowo

Wystawa stała:

*De Profundis.. Archeologia ziem
powiatu legionowskiego*

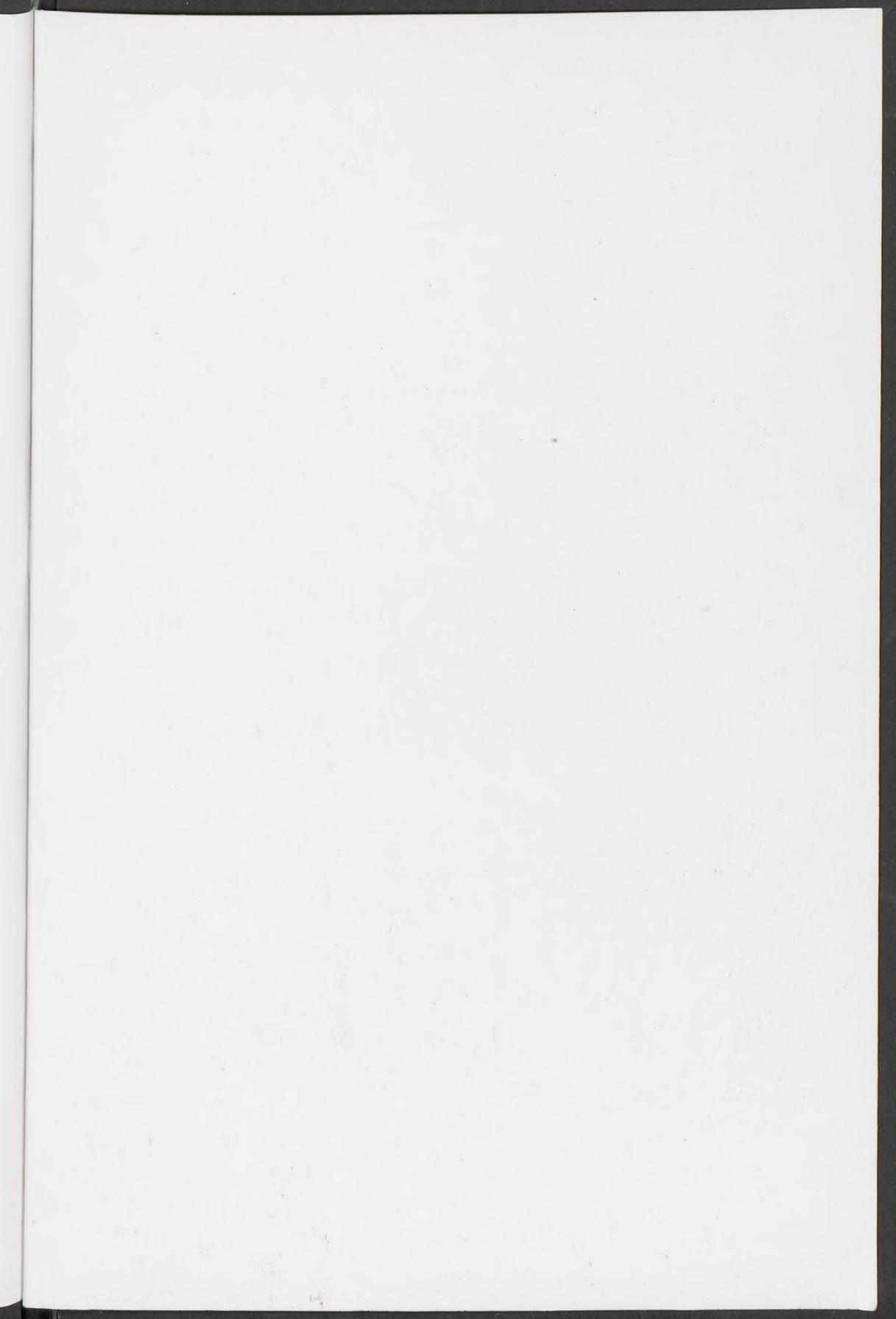
Pawilon Muzeum
ul. Mickiewicza 23
05-120 Legionowo



Muzeum Historyczne
w Legionowie

Więcej informacji:

www.muzeum.legionowo.pl





TADEUSZ SZULC

Działacz społeczny i sportowy.
Radny Rady Miasta Legionowo.
W 2008 r. odznaczony statuetką
**ZASŁUŻONY DLA MIASTA
LEGIONOWO.**

